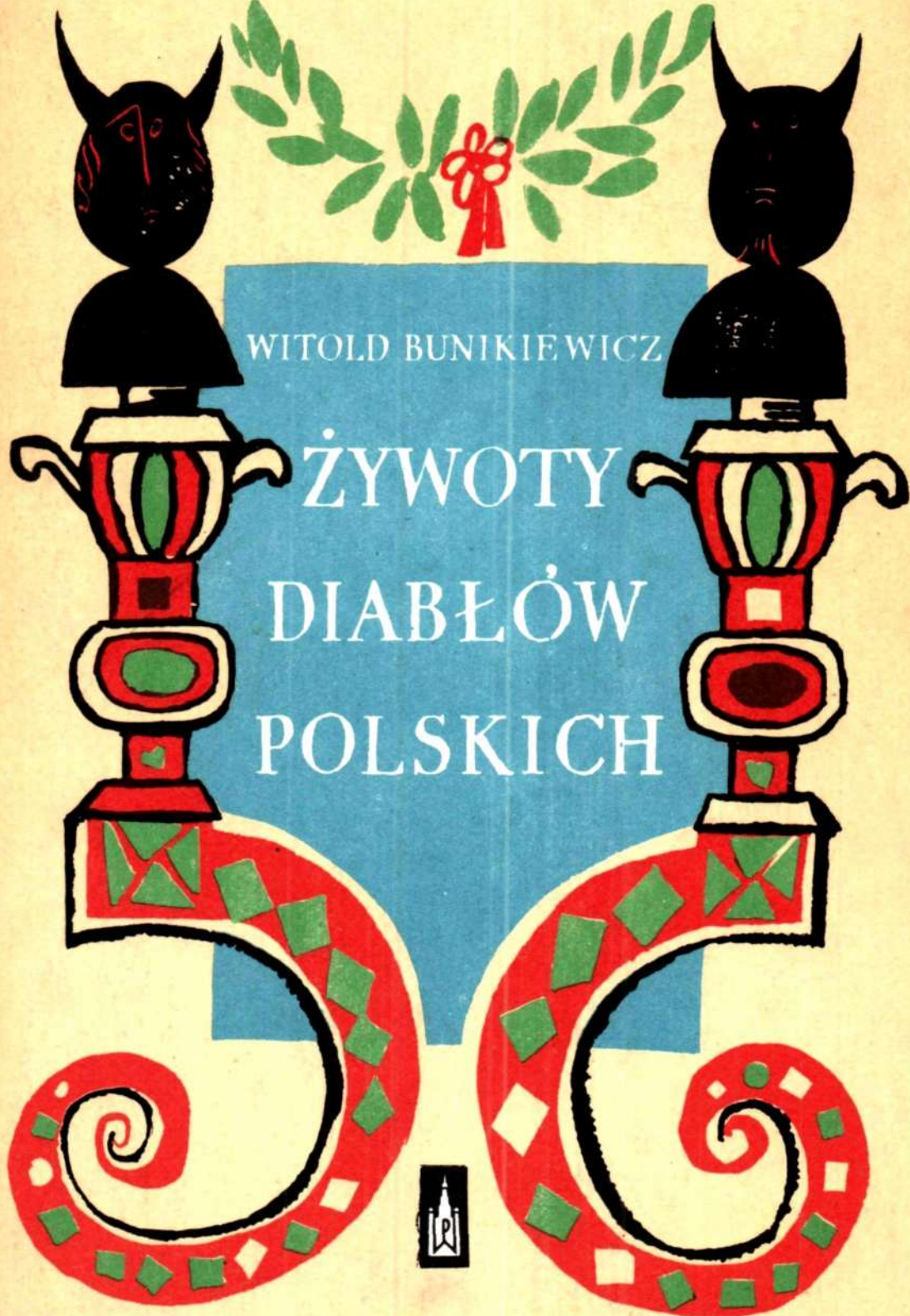




WITOLD BUNIKIEWICZ

ŻYWOTY
DIABŁÓW
POLSKICH

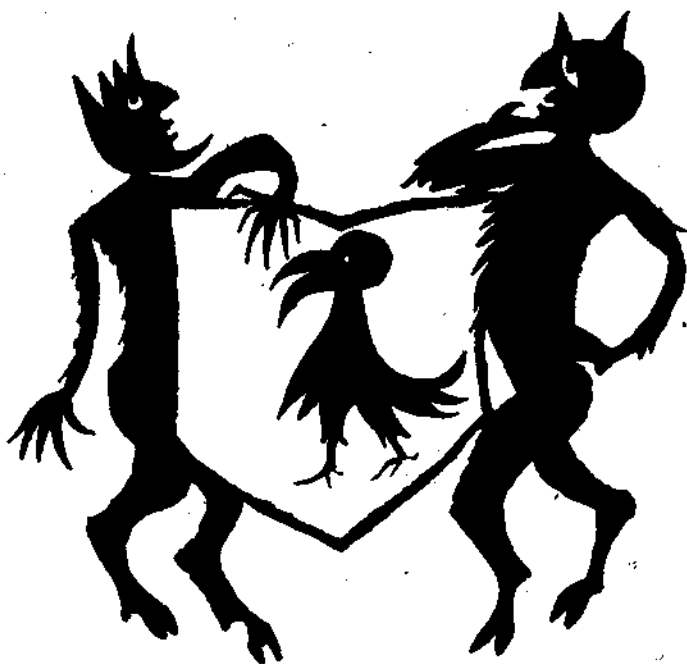


**ZYWOTY
DIABLÓW
POLSKICH**



WITOLD BUNIKIEWICZ

ŻYWOTY
DIABŁÓW
POLSKICH



WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Okladkę, stronę tytułową i ilustracje
wykonała
MARIA HEIDRICHOWA

© Copyright by Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1985

ISBN 83-210-0454-7

GDZIE NALEŻY SZUKAĆ WEJŚCIA DO PIEKIEŁ

Zastanawiali się nieraz ludzie i pytali mędrców obznajomionych ze sprawami wielkiej wagi, gdzie leży piekło i którędy do niego wchodzi grzeszne dusze, a wychodzą diabły na ziemię. Na ten temat wiele już rozprawiano, a poglądy bardzo się różniły od siebie.

Proboszcz z Rypina był zdania, że piekło znajduje się pod naszymi nogami, w głębokiej czeluści, natomiast dziekan z Rozdołu, mąż bardzo świątły i z księgami obznajomiony, twierdził z całą pewnością, że piekło znajduje się na jednej z gwiazd. Gwiazda ta jest czarnego koloru, nigdy nie świeci, obraca się na opak i zije straszliwymi parami, które często dochodzą nie tylko do ziemi, ale nawet zakazają słońce.

Wyjdiesz czasem letnią porą przed dom, a do nozdry twoich doleci zapach tak szpetny, iż mało nie omdlejesz; to dymy unoszą się z diabelskiej gwiazdy i trują powietrze, przypominając wszelkiemu stworzeniu piekło.

Do poglądów dziekana rozdolskiego skłaniał się scholastyk płocki, Idzi, ale skutkiem tego wpadł w zatarg z kanonikiem Mateuszem, który utrzymywał z całą pewnością, że na czarnej gwieździe znajduje się czyściec.

Jeśli by bowiem znajdowało się tam piekło, strzałaby się ziemia, a na świecie nie byłoby ani jednej rośliny, ani też żadnego stworzenia, gdyż wolno puszczone dymy piekielne zabiłyby każde życie.

Piekło więc znajdować się musi koniecznie pod ziemią, i to w znacznej głębokości, przyciśnięte srogimi bryłami i głazami.

W podobny sposób zeznawała, wzięta na męki w Wyszogrodzie, czarownica, Marta Ślendzianka, ale nie domówiła reszty, bo silniej pociśnięta przez mistrza wyzionęła ducha i nie mogła wskazać miejsca, którędy wchodziła na nikczemne harce z diabłami.

Przedwcześnie dobiły ją czarty, aby nie zdradziła wielkiej tajemnicy. Słusznie bowiem obawiają się, że wydanie tego sekretu mogłoby spowodować ogromne nieszczęścia.

Cóż by się bowiem stało, gdyby jakiś odważny egzorcysta, a takich jest niemało, uzbroiwszy się w wodę święconą i relikwie, wszedł do piekieł? Mógłby wypędzić stamtąd wszystkie czarty, zagasić ogień piekielny i samego Lucyfera poprowadzić jak brytana na łańcuchu za swą nogą.

A mogłoby się zdarzyć jeszcze inaczej.

Niechby ludzie wypatrzyli, gdzie znajduje się piekielna brama, zaraz by zabili ją deskami, wymalowali krzyż, a pod nim zawiesili obraz Najświętszej Pani.

Żaden diabeł nie mógłby się wtedy dostać do piekieł, a grzesznicy mnożyliby się na ziemi jak muchy w lipcu i nie lękaliby się pokarania, wiedząc, że czarty nie zedrą świętych znaków i nie poprowadzą lotrów na wieczne zatracenie.

Bardzo źle byłoby wtedy na świecie, gdyż ustałaby miara między sprawiedliwymi a bezbożnymi.

Są ślady w pismach, że pewien dominikański braciszek natrafił przypadkiem w Warszawie na wejście do piekieł.

Widział bowiem, jak wynurzył się straszliwy demon, zawalił otwór skałą, a na niej posadził stuletnią topolę. Braciszek był okrutnie mocny, nie zwierzył się więc nikomu, powalił drzewo, rozrąbał skałę i wszedł do jaskini.

Zaledwie jednak postąpił kilka kroków, upadł z odurzenia i znaleziono go po kilku dniach, leżącego bez zmysłów.

Dopiero później zrozumiał braciszek, dlaczego nie dokonał ważnego dzieła. Chciał iść do piekieł, nie opowiedziawszy się przeorowi, dlatego jęły się go straszliwe dymy piekielne i zmały mu głowę. Gdyby miał czyste sumienie, byłby na pewno dokonał wiekopomnego odkrycia.

Co nie udało się dominikańskiemu mnichowi, powiodło się panu Dymzie.

Działo się to akuratnie w Tłusty Czwartek przy ulicy Brackiej w Krakowie opodal franciszkańskiego kościoła, w winiarni Sulimierczyka „Pod Złotym Kogutem“. Pan Dymza, wychodząc z piwnicy, stracił nagle kierunek i zamiast zwrócić się na prawo, poszedł na lewo. Stąpając ostro przed siebie, zawadził nogą o belkę i runął w przepaść. Zaraz zmiarkował, że wpadł w jakąś nieczystą pułapkę, więc wyciągnął szablę z pochew i oparł się przezornie o ścianę, aby mieć tyły osłonięne. Nagle poczuł straszliwy żar w plecach, jakby uraził się o piec napalony do czerwoności. Przynął się do drugiej ściany, a tam znów mroził go lód, gorszy po stokroć niż w czasie najsroźszej zimy. Dopiero przy trzeciej ścianie zrobiło mu się błogo i przyjemnie, a patrząc naprzeciwko, dostrzegł wyraźnie szparę, przez którą migotało światelko.

Kopnął drzwi i wszedł do wnętrza. Od razu rozpoznał, gdzie jest, lecz nie uląkł się ani przez chwilę, tylko mocno ścisnął poświęcaną szablę i przyspieszył kroku. Szedł z pół godziny po dobrze oświetlonym korytarzu, pokichując cza-

sami, bo srodze kręciło go w nosie. Nagle spotkał nieforemnego człowieczka, który zagadnął:

— Glejt jest?

Pan Dymza wskazał na sygnet ze znakiem Ossorii, który, jak wiadomo, wywodzi się od diabelskiego pazura, więc plugastwo skłoniło się nisko i zeszło z drogi.

Dymza, minawszy szkaradę, szedł dalej zapamiętałe, oglądając się na wszystkie strony, spodziewał się bowiem zasadzki czartowskiej.

Dla dodania sobie odwagi wyciągnął na wierzch poświęcany szkaplerzyk wiedząc, iż ochroni go od podstępów diabelskich, lecz rozważywszy sprawę, schował świętość pod kapotę, nie chciał bowiem, aby oczy Najświętszej Pannienki padały na diabelskie bezecństwa.

I dobrze zrobił.

Niedługo potem, przy pierwszym skręcie korytarza, wyskoczył obrzydliwy potwór, cały porośły szczecią. Merdał okrutnie ogonem, pazurami wydrapywał iskry z kamienia i sapał jak sto szkap dychawicznych. Potwór zatamował przejście widłami, ale pan Dymza nie stropił się tą groźbą, lecz huknął na całe gardło:

— Precz, hultaju, z szablą do mnie stawaj, a nie ze stajennym narzędziem!

Donośny głos i pewna postawa podziały widocznie na czartowskiego sługę. Zmiarkował, że jeśli pan Dymza łaje, ma ku temu prawo i lepiej nie stawiać mu przeszkód.

Szedł więc szlachcic dalej spokojnie, pragnąc dotrzeć do samego Lucyfera i łeb skrócić sobace lub co najmniej na nim wymóc, że nigdy nie będzie wodził na pokuszenie.

Inaczej się jednak stało. Za ledwie przelazł pan Dymza przez wąziutką kładkę, rozciągającą się nad ogromną rzeką smoły, obskoczyło go kilka tuzinów diabolic. Nie można powiedzieć, aby były szkaradne. I owszem, udały się zupeł-



nie. Jedne miały włos czarny jak heban, inne złoty niby dojrzały snop pszenicy, były płowe i szare, a niektóre nawet rude, wszystkim zaś błyszczały oczy jak wilkom po nocy.

Pan Dymza strzepnął ręką, chcąc odgonić diabllice, ale nie pomogło. Opadły go gromadą, chichocąc i szczerząc zęby tak jakoś dziwnie, że aż ciarki przeszły wędrowca od głowy do pięty. A jedna wołała przez drugą:

— Będę twoją, bądź moim, nie bierz tamtej, tylko mnie, mnie-e-e! — i stał się taki krzyk i harmider, że aż głuchły uszy.

Choć pan Dymza nie był na pleć piękną łasy i wolał zawsze szklaneczkę niż dziewczkę, jednak wspomniał, że przeżył w kawalerstwie czterdzieści pięć wiosen i nie wadziłoby mieć w domu żonkę. Lecz jakżeż taką poślubić? Tfy, grzech, nijako i niebezpiecznie.

A oważ jedna, przedarłszy się przez ciżbę, pochwyciła Dymzę za szyję i uwiesiwszy się na niej niby gruszka na gałęzi, zawołała:

— Już cię nie puszczę!

Mówiąc to, przywarła cała do szlachcica, obsypując go pocałunkami.

Takiej przyjemności nie zaznał Dymza, póki żyw. To czerwieniał, to bladł, trząsł się jak w febrze, potem zalewał go upał okrutny i nie zwracał nawet uwagi, że diablice rozsierdziły się nad miarę i skaczą sobie do oczu, wyklinając jedna drugą, iż przeszkodziła jej dorwać się do udatnego chłopca. I stał się taki zamęt i ogólna nieprzyjaźń, że z głębin czeluści poczęły nadlatywać czarty, aby rozdzielić powaśnione piekielnice, które wodziły się już za czuby, wyrwały sobie z łbów kudły i rozdzierały do krwi zębami i pazurami.

Pan Dymza nie wie, co się stało, lecz ocknął się dopiero na świeżym powietrzu, a gdy pozbierał zmysły, ujrzał wędle siebie nieszpętną niewiastę, która uśmiechając się wesoło, kładła mu na głowę mokre chusty, poila pachnącą driakwią i szeptała do ucha:

— Nie to, nie, za chwilę będzie już dobrze. Zmylił waszność trochę drogę i znalazłam go w rynsztoku przed moim domem. Wydrzyna jestem, wdowa po trybunalskim asesorsze! Pijaczną był nieboszczyk i zmarł przed rokiem, dając mi zaledwie zakosztować rozkoszy szczęścia małżeńskiego.

Dymza byłby przysiągł, że widział tę niewiastę w piekle, ale nie śmiał zadawać jej kłamu, aby nie wydać się gburem; milczał więc i myślał: „Poznałbym ją po całowaniu, ale nie wypada postępować obcesowo, przywabię kobietę jeszcze do tego i wtedy dopiero wyda się prawda“.

Więc niby od rzeczy, niby do rzeczy, kołowaniem tędy i owędy próbował znęcić gospodynię. I niedługo zastawiał sieci, bo ani się opatrzył, gdy wdowa zsunęła mu się w objęcia, a wpadłszy w ramiona, przywarła jak ogień do żywicy.

Wzdrygnął się Dymza, bo poczuł ten sam smak pocałunków, co w piekle.

Nie było jednak gadania, w trzy tygodnie Wydrzyna zwała się już Dymzową. A ludzie, którzy ją znali, mówili, iż zasłynęła jako dobra małżonka. Sama krupnik warzyła i zaprawiała nalewki, a gdy mąż usnął, siadała wedle łóża i gałązką odganiała muchy, aby miał sen słodki i nie zamącony.

Tylko wobec innych kobiet wychodziła na jaw jej szatańska natura. Jeśli zbliżyła się niektóra z przyśmieszkiem lub przyjazną intencją, jako że małżonek był chłop urodny i w języku wielce przymilny, stroszyła się niby opadnięta wilczyca, parskając i cięła złością, gotując się rozplatać następną pazurami, akuratnie tak samo jak wtedy, gdy zobaczyła w piekle pana Dymzę.

Małżonek zaś milczał, bo nie śmiał wyjawić nikomu pochodzenia swej żony.

Trzecie wejście do piekieł znajduje się pod Krzywym Mostem, niedaleko Mławy, a jest tak zarośnięte łoziną i chwastem, iż niepodobna go wypatrzyć.

A przecież dostrzegł piekielne wrota głupi Kondziołek. Mówiono, że miał rozum pomieszany, ale mało w tym prawdy. To pewne, że Kondziołek był próżniakiem i latawcem, nigdzie nie zagrzeł kąta, a gdy pytano, kto go żywi, odpowiadał bez namysłu:

— Wróble i stara pliszka.

Niemądrzy ludzie myśleli, że niepoń bredzi, a tymczasem mówił tak, jak było. U Antoniego Wróbla pasał Kondziołek bydło, a dla starej Pliszkowej, która zamawiała choroby, zbierał zioła po polach i łąkach, nic więc dziwnego, iż żywili go, a czasem nawet przyodziali.

Wyciął tedy Kondziołek sękaty kij w lesie, usiadł pod mostem i czeka. Czeką od południa do wieczora — nic. Dopiero dobrze po zmierzchu zaszuszcilo w łozinie, a spod mchów wysunął się z wolna rogaty leb czarta.

Wybaluszył na próżniaka ślepie, a widząc wzniesioną nad sobą pałę, zawołał:

— Nie bij!

Kondziołek spuścił kij z całej siły, lecz sękacz zsunął się po rogach czartowskich, nie naruszając czaszki.

Diabeł zawył żalownie i śmignął pod nosem pastucha. I byłby drapnął szczęśliwie, gdyby nie długi ogon, który włócił za sobą. Pochwycił Kondziołek koniec kity i ciągnie do siebie, a diabeł do siebie. Stękają obaj z wytężenia, lecz czart mocniejszy, szarpnął raz i drugi, dał susa, a chłop jak długi wywalil się na ziemię. Patrzy — pół ogona trzyma w garści, a z dali dolatuje go płacz i narzekanie: to diabeł tak skomli po utracie swej ozdoby. Boli go i wstyd nim miota, że dał się tak oszpeci. Skoro inaczej być nie może, zaczyna czart po dobremu:

— Panie Kondziołek, oddaj ogon, kupię ci nowe buty!

A gluptas nie odpowiada, tylko kitę wsunął za wstęgę od kapelusza i pogwizduje radośnie.

— Dam ci dukata — wołał diabeł, lecz dryblas ani nawet słucha.

— Dziesięć dukatów zapłacę, sto dam, jeśli mało — skomli czart pokrzywdzony.

— Kup sobie nowy u Żyda — odrzeknie niecnota i kieruje się prosto ku wsi, aby pokazać zdobycz.

A diabeł w bek.

— Kondziółku, Kondziołeczku, miej litość, nie gub na zawsze czarta, który ci nic nie zawinił, ani nigdy nie zawini. Co każesz, to zrobię, oddaj tylko połowę ogona, bo spalę się z hańby.

— Zgoda — odrzeknie pastuch — oddam kitę, ale zaprowadzisz mnie do piekła i pokażesz twego księcia.

Czart wymawiał się, że uczynić tego nie może, że żaden żywy człowiek nie wszedł jeszcze do piekiel, że boi się Lucyfera, ale Kondziołek obstawał przy swoim i niepodobna mu było wybić z głowy tej szalonej zachcianki.

Ponieważ nie przyszło do innej ugody, diabeł podważył pazurami murawę i szustnął w dziurę, wciągając za sobą upartego nicponia.

I jak tu było wierzyć ludziom, gdy opowiadali, że Kondziołek jest głupi i rozum ma pomieszany.

Przez rok i sześć niedziel zwiedzał pastuch piekło, kamracił się z czartami, usługiwał nawet Belzebubowi, a z Lucyferem rozmawiał jakby z wójtem lub proboszczem: z respektem, ale bez bojaźni. Nasiąkł tylko okropnie siarką, a gdy wrócił na ziemię zdrów i nie naruszony, opowiadał, co widział, wszystkim dla przestrogi.



Z łatwością może się każdy przekonać, że Kondziolek nie skłamał, gdyż błaka się dotychczas po świecie czart nazwiskiem Belzun, który ma zeszyty ogon, a szwy znać jeszcze na skórze. Diabeł ten omija z dala ludzi i psów się boi okropnie, dla wszelkiej zaś pewności nie włóczy za sobą ogona, lecz przerzuca go przez ramię, bo gdyby mu jeszcze raz naderwano kitę, na wieki już pozostałby oszpecony. Jeśli jednak zagadnąć diabła dobrym słowem i okazać mu łagodność, opowie, jak wszystko było, żaląc się serdecznie na Kondziolka.

Czwarte zaś wejście do piekieł znajduje się na bagnie w Brzozdowcach. Temu nikt nie zaprzeczy, bo może złożyć świadectwo co najmniej ze stu żydów i tyluż chrześcijan.

W mieście tym żył wielki bogacz, Szmul. Bardzo był nieużyty i chociaż co dzień jadał rybę lub kurę, nie wspomógł nigdy biednego. Skrzywdził starą Grzegorzową, puścił na dziady Piotrowicza, niszczył procesem Myszkowskiego, a nawet z rabinem nie mógł się zgodzić. Nie darował nikomu, swój czy cudzy, bo wszystkiego miał za mało, taki był nienasycony.

Nadszedł Sądny Dzień. Szmul-bogacz poszedł do bóżnicy i zagłębił się w święte księgi. Modlitwa nie szła widocznie do Boga, bo przed świątynią zjawił się czart i stanął na czatach. A gdy Szmul około północy wychodził z bóżnicy, diabeł lap go za kark, przerzucił jak worek przez plecy i puścił się cwałem za miasto.

Wszczął się straszny wrzask i zamęt. Kto żyw wypadł z domu, chwycił pałę, kół lub ożóg i pędził za diabłem, który rwał z kopyta, przeskakując jak fryga doły i wyboje. Ludzie nie mogli mu nadażyć, lecz widzieli dokładnie, jak skoczył w bagno i pogrążył się w nim wraz ze Szmulem.

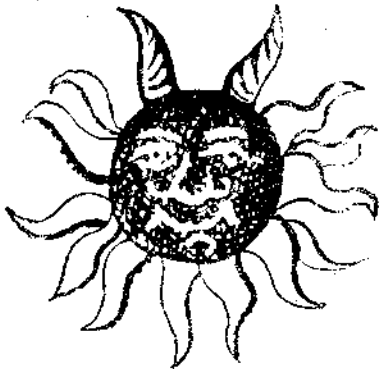
Miejsce to pokazuje jeszcze do dzisiaj i jest ono postrachem dla wszystkich wyzyskiwaczy i lichwiarzy.

Piąte wejście do piekieł znajdowało się długi czas pod Lublinem, wedle trzech krzyżujących się dróg, u wielkiego kamienia. Zasyпали je jednak pobożni ludziska i wybudowali w tym miejscu kapliczkę z Męką Pańską.

Jest jeszcze w Polsce kilka, a może i kilkadziesiąt wrót piekielnych, ale bardzo trudno dowiedzieć się, gdzie i w którym miejscu. To pewna, że diabły nie próżnują, lecz ryją ciągle w ziemi nowe chodniki, aby mieć łatwiejszy dostęp do ludzi i coraz liczniejsze porywać ofiary.

Świadomi spraw twierdzą, że ze wszystkich miast na świecie najbardziej podkopany jest Rzym, czemu się dziwić nie można, bo diabły strasznie są zawzięte na stolicę Piotrową, chcieliby ją połknąć jak najprędzej lub rozgotować w smole.

Cóż, kiedy nie mogą dać rady...



W JAKI SPOSÓB BORUTA ZOSTAŁ WOJEWODA

Jak długo żyli Polacy w pogaństwie, wszystko, co znajdowało się na ich ziemi, należało do Lucyfera. I ludzie, i pola, i domy, i każdy dostatek.

Diabły chodziły po Polsce jak po swoim, pomagając ludziom w pracy rozumem i rękami. Często więc można było widzieć, jak zaprzęgały się do pługa i orały rolę, pasaly bydło lub kręciły młyńskie kamienie. Dlaczegoż tego nie miały robić? Jak spojrzeć, wszędy było ich władztwo.

Więc gdy w innych ziemiach krew się lała, mór trzebił grody i osady, a lupieżnicy ciemieżyli ludność, w Polsce panował błogi spokój. Nie szczuły diabły ludzi na siebie, nie wciskały im w ręce płonących żagwi, lecz łagodziły waśnie, odganiały zakażone powietrze, a biedakom i niedołęgom przysparzały dobytku, nie chcąc aby zbyt bieda wzniecała w duszach ludzkich zazdrość i chciwość.

Wszystko to czyniły biesy z przebiegłości i wyrachowania, by pokazać i rzec: — Patrzcie, jak szczęśliwe jest nasze królestwo i jak dobrze ludziom pod diabelskim berłem. Omamiali ludzi doczesnymi dostatkami, a dusze ich wlekli na wieczne zatracenie.

Znaleźli się jednak czujni mężowie, którzy przejrżeli chytrych diabelską i poczęli głosić wiekuistą prawdę. I wnet

przyjęli ją Polacy i tak gorliwie spełniali przykazania, że nie można było lepiej. Diabły wtedy stały się złe i mściwe, zaczęły czynić ludziom na przekór, szkodzić i zwodzić, ale nie mogły niczego dokazać.

Lucyfer był z wściekłości, iż stracił tak potężne królestwo, i przemyślał nad sposobem zniszczenia zbuntowanych poddanych. Wysyłał najmądrszych zastępców na ziemię, sam jakiś czas zamieszkał nad Wisłą, usadowiwszy się na Czartowskiej Skale, ale diabły zabiegi szły na marne, gdyż wszyscy Polacy wędrowali do nieba, tak byli pobożni i cnotliwi.

Zrozumiał przeto Lucyfer, że obcy panowie w Polsce przewodzić nie mogą, bo niczego nie wskórają, oglądał się więc za rodowitym Polakiem, aby go uczynić diabłem i oddać mu w swym imieniu całą ziemię we władanie. Książę ciemności długo szukał i znalazł.

Na Kujawach żył nie byle jaki witeź, Boruta. Szerokie posiadał ziemie, dom z kamienia lepszy miał nawet od księżęcego w Gnieźnie i niczym nie zaspokojoną pychę. Nikomu nie chciał hołdować: ani Bogu, ani królowi. Czynił wprawdzie na piersiach znak krzyża, ilekroć przestępował próg królewskiego grodu, dla pokazania, że przyjął prawdziwą wiarę, lecz w głębi serca nienawidził nowych ob rządów.

Z biskupem i z mnichami wojował otwarcie. Trzy razy nasyłał zbirów na klasztor benedyktynów, którzy osiedli nad Wartą, uczciwe kobiety wywlekał gwałtem z domów i rzucał pacholkom na zabawę, a gdy go opat Arnold obłożył klątwą, porwał opata i obwiesił na suchej gałęzi.

Strach padł na duchownych i lud chrześcijański, a Boruta szalał dalej bez upamiętania, zagrażając nie tylko

Kujawom, ale podsuwając się daleko poza płocki gród, aż po Kraków i śląskie ziemie.

Połączyli się więc chrześcijańscy panowie, aby schwytać rzezimieszków. Całe lato zajeżdżali konie, nie mogąc dojechać zbrodniarzy, choć nieraz natrafiali na ich ślady. Czaracie siły były z nimi w przymierzu.

Raz wedle Biskupic, gdzie Wisła szeroko się rozlewa i huczy głębią, napotkali orszak Boruty. Łotry rozkulbaczyły konie i spały w zaroślach, a nad ich głowami krążył kruk i przepatrywał okolicę. Skoro ptak zwietrzył niebezpieczeństwo, zakrakał przeraźliwie i rozbudził śpiących.

Porwali się do mieczy, widząc jednak znaczną przewagę nieprzyjaciół, nie chcieli spotkania, lecz szukali ocalenia w ucieczce. Koniom ich, wysilonym długim pochodem, nie starczyłoby na długo siły, ale nieczyste moce przybyły z pomocą służalców Boruty. Zaledwie ujechali dwa stajania, pędząc na oślep przed siebie, zerwał się straszliwy tuman i ciskał w chrześcijańskich pacholków takie chmury piasku i żwiru, iż ludziom i koniom dech zapierało, a oczy śleply od kurzawicy.

Chrześcijańscy wojownicy parli jednak naprzód, niepomni iż całe piekło mają przeciw sobie. Lucyfer upatrzył już Borutę na swego namiestnika w Polsce i zapragnął go okryć sławą, aby wzrósł w znaczeniu i tym łatwiej mógł plątać ludzkie rozумы. Więc nad Krzemienicą zgotował klęskę wrogom swego przyjaciela.

Bolko z Zdziembusza, który jeden tylko ocalał z tego pogromu, przysięgał, iż było tak:

— Piotr z Nasiegniewa dostrzegł pierwszy poprzez obłoki kurzawy, że zgraja Boruty zatrzymała się w kotlinie, aby dać wytchnienie koniom, z których wychodziła już ostatnia para. Krzyknął więc na Tulibowczyków, którzy tuż za nim następowali, i wraz z Ludkiem z Junoszy

i hurmą pacholków, razem w dwieście kopii, runął na drabów.

Omamiło jednak rycerzy. Kopie skrzyły się w dłoniach i zaryły w żwir potoku, na karki ich spadły zaś smoki drapieżne i odgryzały łby od kadłubów, fruwając jak komary w powietrzu ciemną ogromną, tak iż nie można było ani kłuć, ani ciąć, nie wiedząc, z której strony użrą.

Nim upłynęło tyle czasu, w ile człek zdoła odmówić trzy *Zdrowaś Maria*, powaliło się wojsko chrześcijańskie jak ścięty z nagle łan kwitnącego maku, piękny w swej krwawej urodzie, a już niepożyteczny.

Boruta stał na wzgórzu, a oglądając pole, zhardział jeszcze bardziej i obiecywał sobie nie opuścić miecza, dopóki nie wytepi aż do ostatniej nogi wszystkich sług bożych na polskiej ziemi. Obdarłszy trupy z broni i odzieży, rzucił się Boruta wplaw przez Wisłę, a za nim jego hultajstwo.

Bolko z Zdziembusza widział dokładnie, jak wypłynęły z nurtów szkaradne jakieś potwory o łbach hyder a węzowym ogonie i podsadziwszy się pod konie hołoty, przewiozły ją niby na tratwach, na suchą ziemię, po czym zatopily się znów w głębinach.

Po tym pogromie wojska chrześcijańskiego nie było już wątpliwości, że Borutę wspomaga piekło i trzeba uwiadomić o tym wszystkich wiernych, aby mieli się na baczności. Od przeora do opata poszła więc nowina: „Chwytajcie syna czartowskiego, zakujcie go w dyby lub łeb mu roztrzaskajcie obuchem! Nie może taki płać się po świecie!”

Najgorzej zaś nastawał na czartowskiego namiestnika opat Odo, który wysługiwał się ongiś cesarzowi i chadzał z nim wojować Pomorzany. Opat świadom był diabelskich arkanów i nim został mnichem, potykał się nieraz z czar-

tami, którzy wszędy pomagają poganom, zaciągając się do ich szyków jako zwyczajni kopijnicy lub starszyzna.

Odo sprawił huf ze stu jezdnych, poświęcił ich topory i siodła, a sam, stanąwszy na ich czele, ruszył w pogoń za Borutą. Wyprawa jednak spelzła na niczym, albowiem konie pokulały i zjadliwa gorączka powaliła z nóg rycerzy. Zamiast potykać się z czartem, leżeli w dworach kmiących, nie wiedząc o bożym świecie. Borykali się z diabłami, które wlaży w ich ciała i tarnosiły wnętrzości, odejmując moc to rękóm, to nogóm, to całemu człowiekowi, iż leżąc pod futrami, dygotał z zimnicy i nieludzkim głosem wykrzykiwał niezrozumiałe słowa.

Sam opat ucierpiał mocno od szatanów i po długim dopiero mozole wypuł z siebie diabła, który rozrywał jego wnętrzości. Inni zaś mniej skrzepli na duchu umierali, zanim egzorcyzmy mogły skutecznie działać.

A w tym czasie, gdy Odo chorzał, a jego towarzysze wili się w opętaniu, Boruta zabijał, rabował, palił, a gdziekolwiek spotkał krzyż, wszystko obracał w perzynę i rozgłaszał, jak można najgłośniejsz, iż żadnego z apostołów nie oszczędzi, albowiem głoszą cesarską wiarę i starodawną mowę mają w pogardzie.

Więc nie tylko w Polsce, ale i w cesarstwie niemieckim rozchodziła się wieść, iż nad Wisłą zrodził się Antychryst, któremu usługują diabły i pospołu z nim wycinają chrześcijan.

Nic więc dziwnego, że gdy cesarz, a wraz z nim dwóch królów ogłosili wojnę Polakom, kwiat rycerstwa ruszył z całego świata i w ogromnym tym wojsku nie było ani jednego kopijnika, ani nawet masztalerza, który by nie pałał chęcią spotkania się z Borutą.

Kujawski zaś pan pospieszył do obozu Mieszka Gnuśnego, ofiarowując mu swe służby. Niewiele przywiódł



z sobą czeladzi, ale za to chłopców strasznych, aż nieswojsko było spojrzeć w ich oblicza. /

Odziani byli w welniste skóry ze zwierząt nie znanego nikomu pochodzenia. U jednego boku zawieszali kusze o straszliwej sile, u drugiego maczugi natkane krzesiwem. Broń ta druzgotała pancierz jak orzechy, a saraceńska stal na miał się rozpryskiwała pod ich uderzeniem. Przyjechali zaś na wierzchowcach tak dzikich i drapieżnych, iż przypominały raczej bestie z Apokalipsy niż rycerskie rumaki.

Nikt z ludzi nie śmiał zbliżyć się do tej gromady, oddanej na śmierć i życie Borucie i jemu tylko powolnej. Sam król patrzył na tę gawiedź z odrazą, ale że szła przeciw niemu ogromna potęga niemiecka, duńska i czeska, nie odrzekł się pomocy, obiecując, iż zaraz po bitwie wypędzi te maskary obrażające ludzkie oczy.

A był w wojsku królewskim świątobliwy mąż imieniem Krystyn. Jechał za szeregiem odziany w grubą włosienicę, żywiąc się leśnymi jagodami, gdyż chleb uważał za specjal, którego co dzień tykać się nie godzi. Niedawno wrócił z Rzymu, a przejęty prawdą bożą, nawoływał do cudów i dbał, aby rycerstwo nie zaniedbywało nabożeństw.

Krystyn nie czuł wstępu do towarzyszy Boruty i począł ich rozpytywać, skąd przybywają, jak chwałą Boga i dlaczego trwają przy swym panu, który gorszy jest od szatana, bo pod gładkim licem i ujmującą powierzchownością tai najstraszliwsze zbrodnie, jakie zna ziemia.

Hołota wybuchała raz po raz śmiechem, słysząc napomnienia, a gdy Krystyn coraz zapalczywiej nawoływał, wręcz mu odpowiedzieli sprzymierzeńcy szatana:

— Milcz, byś głowę miał całą!

Lecz świątobliwy mąż nalegał coraz bardziej, klnąc zatraceniem sługi Boruty. A gdy tak kazał, wystąpił pewnego dnia jeden z hołoty i wyrzekł:

— Trzeci dzień głodujemy, idąc przez bagna i ostępy. I kto wie, czy jutro jeszcze włożymy co do ust, bo nigdzie nie widać osady, gdzie byśmy dostali chleba i mięsa.

— Ledwie to wypowiedział, wyłoniła się z głębi boru ogromna polana, pełna różnego zwierza, a najlichszy pachol mógł upolować sarniaka lub jelenia, taka była tego obfitość.

Diabelscy przyjaciele nie mogli wyjść ze zdumienia, a Boruta zaciskał pięści i rozgryzał do krwi wargi, widząc, iż mnich coraz gorliwiej nastaje na jego zgubę. Upatrzył więc najdzikszego spośród swoich i rzekł mu:

— Ubij pałą tego szczekacza, a w zamian za to dostaniesz najmłodszą mniszkę, którą ułowimy wróciwszy z wojny do domu.

Potwór, zadowolony z obietnicy, poszedł spełnić rozkazanie, zabrawszy z sobą towarzyszy, aby uradowali się widokiem krwi świątobliwej.

Słońce zapadło już za bór, a ogromna czerwień księżycy rozlała się po obłokach. Krystyn po załatwieniu dziennych spraw pograżył się w modlitwie, a nad jego czołem rozpostarła się jasność równa tarczy miesięcznej, tylko jeszcze promienistsza.

Zbiry podeszli nie zauważeni przez świętego męża, a trzech z nich od razu spuściło krzemieniami nabite maczugi na głowę Krystyna.

Ani uczył uderzenia i dalej odmawiał pacierze. Po raz drugi, trzeci, czwarty rąbnęli zbóje maczugami, lecz święty człowiek ani się zachwiał i jakby osłoniony niewidzialnym puklerzem wciąż trwał w zamyśleniu.

— Cud, dziw! — zawołał największy zbrodniarz i runął do nóg świętego, błagając go o łaskę, a po nim padli inni i wyznawali swe winy, wyrzekając się na zawsze pana, któremu dotąd służyli.

Skoro to ujrzał Boruta, nie czekał już ani chwili i jeszcze tej nocy wyrwał się z obozu, pędząc na Kujawy, gdzie spodziewał się zebrać nową gromadę, aby dalej prowadzić dzieło zniszczenia. Po raz pierwszy poznał swą niemoc i bódł konia, złorzeczając diabłom, iż go opuścili i pozwolili zatracić wybrany huf, któremu nikt nie śmiał stawić czoła.

Lecz czarty, choćby chciały, nie sprawić nie mogły, gdyż nad Krystynem czuwała ręka boża. Tym większa więc złość targala Borutą, a gdziekolwiek na drodze ujrzał krzyż, obalał go na ziemię i jak burza pędził przed siebie, spozierając, co by zniszczyć wypadło.

A gdy cwałował wedle Łęczycy, złość jego przeszła w obłąkańcze zaślepienie. Nie tak dawno, jak opuścił tę ziemię, a już wzniesiono mury kościoła i niedługo miała w nim rozbrzmiewać chwała Najwyższego.

Koń Boruty padł z wielkiego znużenia, a w obłąkanym jeźdźcu wezbrała taka siła, jakiej dotąd nie zaznał. Zdało mu się, iż skały podnosić będzie z podnóza, a stuletnie dęby złamie w palcach jak gałązki leszczyny. Krew zalewała mu oczy, a serce wzdęło się w piersi niby miechy.

Boruta doskoczył do nowo wzniesionych murów, chwycił je oburącz i naprężywszy wszystkie siły, zatargał. Chybneła się budowla w posadach, ale ani kamyszek nie usunął się z miejsca.

Szalenięc nie dał za wygraną, lecz zaparł się nogami



w piasek, na usta spłynęła mu piana, a z oczu krew zdała się buchnąć za chwilę. Zatrzęsły się mury i od fundamentów pod wierzch pękła ściana budowy.

Naraz zaciemniło się nębo i grom trzasł, godząc Borutę w samo serce. Rozłożył ręce i padł na wznak bez ducha.

Żałował Lucyfer, iż tak prędko rozstał się Boruta ze światem. Wiele bowiem obiecywał sobie po nim, a owóz nadzieje spełzły na niczym. Bóg chciał, aby Boruta nie żył, a śmierć jego była odstrasającym przykładem dla wszystkich wieków.

Z ulgą odetchnęli słudzy boscy i pobożni chrześcijanie, albowiem nie zagrażał im wróg-niszczyciel, dla którego nie było nic świętego.

Zbrodniarza pochowano byle jak, natomiast Lucyfer sprawił mu dostojne przyjęcie w piekle. U wrót otchłani czarty sprezentowały halabardy, a wszystkie diabły wystąpiły z odznakami swych urzędów: Więc jedni nieśli noże ogromne do krajania grzeszników, inni dźwigali miotły ogniste, którymi smagali potępieńców, byli oprawcy z pętłami i harpunami, obrzydliwe diablice wyostrzyły pazury, przeznaczone do targania obmówców i niewiernych kochanek, a sam Lucyfer wystąpił w czerwonym płaszczu z ognistej purpury, u stóp zaś jego postępował ohydny smok, ziejący siarką.

Księżę ciemności ucałował Borutę w czoło, na którym wystąpiła natychmiast krwawa plama, znamię piekielnej władzy. W paleniska sypano góry smolnych szczap, a okrutny ogień oświetlił wnętrze otchłani, w chwili gdy wstępował do niej Boruta.

Nowego przybysza posadzono do stołu biesiadnego, a Lucyfer, wychylając kielich diabelskiego nektaru w ręce swego sprzymierzeńca, przemówił w te słowa:

— Z dzieł swych zdasz potem obrachunek i sprawiedliwość będzie ci wymierzona w dzień Sądu Ostatecznego. Tymczasem wracaj na ziemię i obejmij polską krainę we władztwo! Będziesz moim wojewodą!

Choć piekielny nektar palił nieznośnie trzewia Boruty, nie nawykłego jeszcze do takiego rarytasu, sklonił się jednak przystojnie i przyjął ofiarowaną mu buławę.

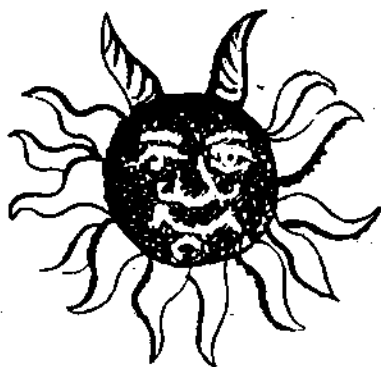
Lucyfer zaś prawił dalej:

— Na twą stolicę przeznaczam Łęczycę, miasto piękne i warowne. Spotkała cię w nim śmierć, więc słuszną jest rzeczą, abyś tam panował. Buduj pałac, panie wojewodo, i rządz ku chwale piekła!

Przy świcie wichury i w mroku mgieł jesiennych wstępował orszak czarci na ziemię. Wiódł go Boruta na karym rumaku, ubrany w karmazyn i złoto. Koń parsknął ogniem, a buława w ręku wojewody sypała skry, od których gorzały domy i niszczały wsie.

— Diabeł jedzie! Diabeł jedzie! — wołali zdjęci strachem ludziska. — Biada nam! ☹

Boruta rozpoczął rządy.



SZELMOSTWO BORUTY

Dziwnie samotnie czuł się wojewoda Boruta w nowo zbudowanym zamku łęczyckim. Postanowił przeto wprowadzić w dom małżonkę, która by dostojnie reprezentowała majątek diabelski i dbała o gospodarstwo.

A było o czym myśleć. Trzystu piekielnych budowniczych budowało zamek przez trzydzieści lat, gdyż Łucyfer chciał, aby namiestnik jego posiadał tak piękną rezydencję, jakiej nie ma sam król w Krakowie.

Wprawdzie zamek znajdował się pod ziemią i wąskimi szczelinami zaglądało do wewnątrz światło, ale było tam zawsze jasno jak w dzień, bo przedziwne blaski wydawały ściany, ozdobione najrzadszymi kamieniami, a sufit lśnił jaśniej od złota.

Po trzystu zamkowych komnatach przewalala się sfora hajduków, rozpita i rozleniwiona, bo pan wojewoda wiele miał spraw na głowie i nie mógł zająć się domem.

Zdarzało się nawet, że wdziewał kontusz z dziurami, a brakujące guziki zastępował łykiem i gwoździemi, targając szpetnie materię. Klął więc Boruta i wymyślał na służbę, a raz nawet w przystępie wielkiej złości wyrzekł do marszałka dworu:

— Panie Pronobis, ożeń mnie waszmość, bo na nie sparszywieję między wami!

Nie w smak był marszałkowi taki rozkaz, ale co robić? Pan chce, sługa musi. Zaczęły się więc swaty. Co dnia rajono wojewodzie inną białogłową, ale żadna nie przypadła mu do smaku. Jedna zbyt silnie pachniała tymianem, ta miała oko w zez, inna znów przegadać mogła stu diabłów, więc nie mógł się zdobyć Boruta na postanowienie.

W Łęczycy zaś toczyło się wszystko po staremu, a służba wyrosła ponad głowę pana i tak go obsiadła, że zbrzydził mu własny dom. Przeto coraz częściej wymykał się Boruta z zamku, przyjmował zaproszenia na uczyty i wesela, a nawet trzymał sąsiadom dzieci do chrztu i nie było sejmiku, na którym by nie patronował.

Nie obeszło się przy tej sposobności bez swarów i burd, bo od tego właśnie był diabeł, aby szczuł ludzi na siebie i pobudzał ich do obrazy boskiej. Pewnego dnia usłyszał pan wojewoda, iż wedle Koła mieszka łowczanka Chocieszyńska, osoba wielkiej cnoty. Przekroczyła już kwiat wieku, lecz i wojewoda nie kraśniał pierwszą młodością, więc para mogła być dobrana i szczęśliwa.

Nie można powiedzieć, aby panna była szpetna. W sam raz dla diabła. Trochę koścista, ale właśnie Boruta nie lubił pełnych kształtów; głos jej brzmiał jak tuba strażnicza, cóż jednak głos znaczy, skoro inne zalety stokroć go wynagradzały. I tak: twarz jej miała barwę odrapanej ściany, a nos posiadał wygląd bocianiego dzioba i zwieszał się nieomal aż do brody.

Boruta więc myślał: „Będę miał przynajmniej spokój w domu, bo nikt z piekielnych kompanów nie zamąci mi szczęścia rodzinnego, nawiedzając zbyt często Łęczycę“. Zresztą wątpliwe, czyby co wskórał, łowczankę bowiem

stawiano za przykład godny wiekopomnej chwały, a w domu jej nikt nie śmiał grzeszyć przeciw dobrym obyczajom.

Panna była nieubłagana i każdy grzech ścięła okrutnie. Przed kilku właśnie dniami ścięła leb kogutowi, który, poślubiony uroczyście czubatej kokoszce, przedarł się do obcej klatki i zapłonął niedozwolonym uczuciem do białej kury.

Choć sama niezamężna, uznawała jedynie wierne i kochające się małżeństwa i nie było w Górkach ani jednego stworzenia, które by mogło chodzić samopas lub w zgrai. Wszyscy żyli w parach: ludzie, psy, konie, woły i ptactwo domowe, a panna obiecywała nawet pożenić ryby w rzece i wróble na dachach, jakkolwiek zdawała sobie sprawę z trudności tego przedsięwzięcia.

I w tym gospodarstwie jedna tylko panna Wenata stanowiła wyjątek dzięki swej wstrzeźliwości wobec mężczyzn, których unikała w obawie przed nieuchronną zdradą lub czymś nawet gorszym.

W ciągu ostatnich lat kilkunastu nie pokazał się przeto w Górkach żaden mężczyzna, o którym by powiedzieć można, że zabiega o rękę łowczanki. Podobno zjawił się raz taki zuchwalec, lecz dostał rekuzę, gdyż okazało się, że nie tyle przynęcał go hymen małżeński, ile pszeniczne rozłogi i bór nie tknięty siekierą.

Skoro wojewoda po raz pierwszy ujrzal łowczankę, omal mu serce nie pękło z radości. Panna Wenata strofowała właśnie służbę harapem, śmigając w prawo i w lewo, po plecach i gdzie się zdarzy, a na loskot jej głosu drżeli chłopci-nieufomki, kryjąc się po kątach lub pilnie chwytając się pracy.

— Takiej żony mi potrzeba! — zawołał Boruta — przynajmniej nauczy rozumu obżartuchów i wydmikuflów, którzy wylegują się po łączyckich komnatach, drażniąc

piekło swym lenistwem. Co by pomyślał władca Wschodu lub Zachodu, gdyby zechciał mnie kiedy odwiedzić? Jaki by zastał porządek i posłuszeństwo? Z wstydu przyszłoby się spalić, iż hołota się rozpanoszyła, oklepuje wojewodę po łopatkach i każdy rozkaz ma za psie poszycie.



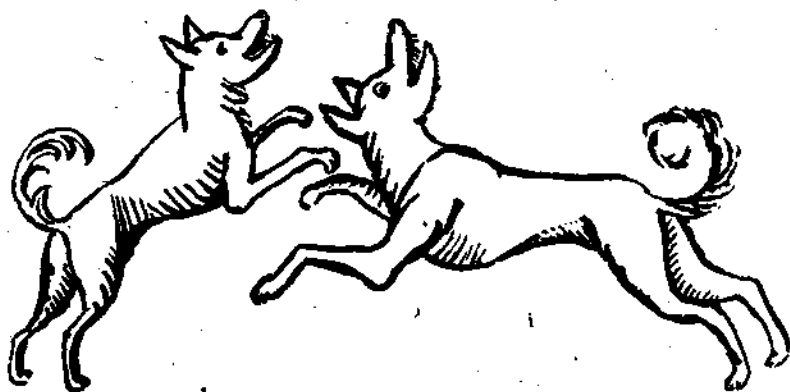
O cudowne zjawisko, pójdź, niech ujęmę cię w ramiona — dodał rozczulony diabeł i odmieniwszy swą postać na zachwycającego młodzieńca, posunął się w koperczaki do łowczanki.

Jak najgorzej przyjęła zalecanki panna Wenata. Ani gadać chciała z Borutą, a gdy uporczywie nastawał i coraz przedniejsze wypowiadał słodkości, które mroczą serca zwyczajnych niewiast, huknęła na diabła:

— Czego ci się zachciewa, cherubinku? Zwodzić cnotliwe dziewczęta? Pleść smalone duby, mącić rozum w głowie i odzierać ze sławy? Dam ja ci amory, Adonisie!

I wrzeszcząc, aż drżały liście na drzewach, zwoływała psy, drzemiące w budach.

Zmiarkował niebezpieczeństwo diabeł i rad nie rad ratować się musiał ucieczką, a w ślad za nim pędziły srogie



brytany, szczerwane nawoływaniem łowczanki. Taki despekt rozszedził Borutę i napoił mu mózg złością. Chciał wyrwać bór, przyorać pola, spalić dom, a przecherną pannicę męczyć aż do skonania, ale pomyślał, iż w niczym nie poprawi to jego sławy, lecz okryje go nową plamą.

Siadł tedy pod starym dębem na skraju lasu i poczał układać szelmowski plan. Nie pojmie już okrutnicy za żonę, to jednak, co postanowił, święcie wykona, chybaby nie był diabłem, lecz starym durniem.

Jak bardzo gardziła łowczanka mężczyznami, tak gorąco znów miłowała konie. Jakby nie była panną, lecz starym królewskim dragonem, który po święcie, bywał, nie raz i nie dwa stawał w wojennej potrzebie i wie, co znaczy koń i jak wielkie jest jego szlachectwo.

Chowała więc gniadosze i karosze, siwki podpalane, pstrokacze i bułańce, a wszystko dobrej krwi, iżby nie jeden mógł się pochwalić choćby przed samym tureckim paszą. A laskawe były jak kocięta panieńskie wychowanki. Gdy ujrzały Wenatę, rżały radośnie, wyciągając szyje jeden przez drugiego, aby dotknąć pyskiem swej dobrodziejki i polaskotać ją chrapami.

A nieraz bywało, iż wrywały się z kopców lub paszy i biegły hurmem przed okno łowczanki, a co niecierpliwszy tłukł łbem w szkło, jakby zaglądał do komnaty i dowiadywał się o zdrowie i humor Wenaty. Skoro zaś panna, wynosiła uzdę z komory, wszystkie koniska naraz podawały pysk do ochelstania, prześcigując się wzajemnie w ochocie służenia swej pani i widać było, jak jeden drugiemu zazdrości i gniewa się, iż nie jego wybrała na wierzchowca.

Oglądał to, z daleka Boruta i nie mógł wyjść z podziwu, że panna, tak surowa dla mężczyzn, czuła była dla koni. Gniadosza poglaskała, siwosza poklepała, a karego ujęła

za szyję, niczym dziewczyna kochanka i pocałowała w rozwarte chrapy, które zdawały się uśmiechać z zadowolenia i przyjemności.

— Takaś ty lwica? — mruczał Boruta i zaciskał coraz gniewniej pięści, kalecząc do krwi dłonie.

I już nie wracał tego dnia do Łęczycy, lecz zaszył się w głąb chaszczów i przeleżał w nich aż do świtania.

Nazajutrz, ledwie mignął blask na niebie, wyskoczyła łowczanka z pościeli. Sny miała tej nocy wielce nieprzyjemne. Widziała prawie na jawie, iż czarny kogut, ten największy lotr z całego stada, przedarł się do najmłodszych kokoszek i grasował wśród nich niby zbir nikczemny. Na szczęście sen się nie sprawdził, więc Wenata skierowała swe kroki ku gołębnikowi, aby napaść uszy gruchaniem zakochanych małżonków.

Zaledwie weszła do ogrodu, osłupiała ze zdziwienia. Pod rosochatą jabłonią stał dziwnie piękny wierzchowiec, prawie złocistej maści. Gryzł wędzidło i przebierał nogami jak w tańcu. Na widok zaś łowczanki parsknął zdrowo i puścił się do niej w podskokach, to na prawo, to na lewo, wdzięcznie się przeginając.

Wenata stała nieruchomo, jakby oczarowana zjawiskiem, i nie pytała nawet, czyj to rumak i skąd przybywa. Dzianet położył łeb na ramieniu panny i zgrabnie się przytrzymał, i rżał z cicha. Okulbaczony był i gotów do drogi.

Wenata zapragnęła się przekonać, czy równie szlachetny jest w dosiadanu jak w wyglądzie i nie mogąc się oprzeć pokusie, wetknęła nogę w strzemię i wspięła się na siodło.

Koń ruszył lekkim krokiem ku bramie, śmignął jak baletnica i znalazł się poza ogrodzeniem. Darń próbowała go nakierować Wenata ku domowi. Biegł truchtem w pole, coraz większy biorąc impet. Nie pomogła uzda i wędzidło, próżno próbowała łowczanka wstrzymać oszalałego bie-

guna, który rwał przed siebie. Ręce jej mdlały z wysiłku, harap świstał przed oczyma konia, a on gnał niczym wichur po gładkiej równinie. Już minął pola i popędził leśną ścieżką, wychybując się przeszkodom, które mu zagradzały drogę.

Łowczanka opuściła bezradnie cugle i w przeczuciu niebezpieczeństwa poleciała duszę Bogu, prosząc raczej o śmierć niż o upiorne kalectwo. Na dźwięk Boskiego imienia koń wstrząsnął grzbietem i stanął jak wryty, a panica poprzez jego łeb runęła w mech leśnej podściółki.

Gdy się opamiętała, klęczał przed nią młodzieniec podobny do cherubina z obrazu. Oczy błyszczały mu jak karbunkuły, a szedł od nich żar tak skwarny i przenikliwy, iż docierał do krwi i do serca, czyniąc pannę bezwładną i zwyciężoną.

A cherubinek szeptał:

— Wyszczułaś mnie psami i chwytac kazałaś służbie, a owóz dierzę cię w swej mocy i nie wypuszczę choćby do skończenia świata.



Dziwnie miłymi wydawały się Wenacie te słowa. Chciała coś wyrzec, ale głos odmówił jej posłuszeństwa, natomiast na ustach poczuła ogień pocałunków. Nie miała siły, aby odtrącić zuchwalca.

Południe przeszło, dzień zleciał i noc mijala, a łowczanka nie mogła się rozstać z młodzieńcem. Nie gniewała się już, ale prosiła, aby jeszcze pozostał i całował, jak całuje, i mówił, jak mówi.

Nad ranem dopiero ujął ją na chwilę sen dobrze zarobiony. Gdy się obudziła, była sama, a do jej nozdrzy dołatywał obrzydliwy zapach siarki. Dziwne jakieś głosy hucały za oknami niby rzewne nawoływania, w których słyszała najwyraźniej swe imię, wymawiane z wielką pieśczęcią. Zrywała się, aby spojrzeć, kto tam woła, ale zakłęcie milkło, a natomiast uszy jej ranił drwiący śmiech i piekielny chichot, od którego cierpła skóra.

Pełna żalu zamykała oczy i widziała jakby na jawie młodzieńca, gdy umykał przez pole, goniony przez rozwściezione psy. Pędził wprost do lasu, siadł pod rozłożystym drzewem i drwił, na palcach wygwizdując. Jeśliby jeszcze raz wrócił i posunął się w koperczaki, padłaby mu sama w objęcia.

Boruta zohydził sobie pannicę i nigdy już nie ponowił swych zabiegów.

Gdzie indziej upatrzył młódkę, którą zamierzał pojąć za żonę. Obalamucili go służalce wiedząc, jak cierpkie byłoby ich życie, gdyby wojewoda wprowadził łowczankę do Łęczycy. Skończyłoby się na zawsze nikczemne wylegiwanie po salach zamkowych i nastalyby pracowite czasy dla diabłów.

Gdyby jednak wiedział Boruta, jak przychylną mu jest Wenata, pewnie by się wrócił i naprawił swe szaleństwo.

Łęczyckie oczajdusze nie mogą jednak pozbyć się obawy, że pan ich powróci do Wenaty, więc gdy znudzi się im bezczelne próżniactwo, pędzą do Górek, aby obrzydzić niebodze małżeństwo z wojewodą.

Leniwe diabły nie zastanawiają się, że od tej pory upłynęło już kilka wieków, a z panny i z domu nie ma już śladu. Choć ziemia pożarła dawne domostwo i łowczankę, dotychczas jeszcze posłyszeć można w świącie zimowego wichru zaklęcia i śmiechy czarcie, a wprawne ucho rozróżni najwyraźniej wołanie: — We-na-to! — a potem przeraźliwy chichot i psów wycie. W takiej chwili niesporo człowiekowi wygrzewać się przy piecu w pojedynkę.



WESELE KARCZMARKI JAGUNI

Wedle Olkusza, przy drodze, stała karczma, a w niej szynkowała piwo i miody szynkareczka Jagunia. Młoda była i rumiana, a tak harda i niedostępna, iż kto ją ujrzał, powiadał:

— Głaz z niej, a nie dziewczynia.

Kilku młodych panoszków zabiegało na próżno o jej względy, to samto czynili synowie mieszczan i cechowi mistrze, a nawet kupiec Balcerek zapragnął ją pojąć za żonę. Lecz Jagunia odpalała wszystkich niemilosiernie, mówiąc:

— Nie takiego będę miała męża!

I szeptano cicho, iż Jaga pragnie się wydać za królewicza z Wawelu.

Gościła go raz i poila, gdy znużony łowami zatrzymał się w gospodzie na odpoczynek. A królewicz zamiast jednej nocy cały tydzień spędził w oberży, smakując w napitkach i Jagusinych ustach. A gdy potem odjechał, zostawiając jej na pamiątkę złoty pierścień, wydało się głupiej dziewczce, iż jest królowną z Wawelu i posłuch się jej należy i wielkie uważanie.

Śmiali się z tego ludzie i pytali:

— Kiedyż, Jagusiu, wstąpisz na tron?

A dziewczka zła odpowiadała:

— Czekajcie, ale gdy to się stanie, pozazdrościcie mi wszyscy.

I wypatrywała dziewczyna oczy, czy na krakowskim trakcie nie ukaże się wawelski królewicz, aby ją poślubić. Patrzyła jeden miesiąc, drugi, czekała od zimy do lata. Daremnie! A gdy zagwizdały wiatry styczniowe i ciemne noce rozłożyły się po świecie, cierpliwość jej przebrała miarę. Siostry zaś szydziły:

— Chciałybyśmy potańczyć w dniu twych imienin na lustrzanej sali, a tu już jutro świętej Agnieszki, kawaler zaś dotąd nie przyjechał.

— Drużkami mi będziecie, a gdy się nie wydam za królewicza, diabłu przysięgnę wierność i zostanę jego żoną!

I ledwie wyrzekła te słowa, zadudniło na gościńcu i układny młodzieniec wszedł do izby.

Struchlało serce w Baśce i w Marynie, precz uciekły, zostawiając siostrę sam na sam z przybyszem.

— W swaty przyjechałem, mościa panno, jestem posłem jaśnie oświeconego wojewody Boruty.

— Za mało mi województwa i mogąc być królową, nie chcę zostać wojewodzina — odpowiedziała dziewczyna.

— Jeśli wyswatasz mnie za Lucyfera, godzę się na zamęcie.

Markotno było wracać posłowi z rekuzą, więc jął tłumaczyć, jakie ją czekają zbytki i w jakim pałacu będzie panią:

*Na wysokiej górze,
W fioletowej chmurze
Stoi zamek wielki.
Dach ma pozłacany
I ze srebra ściany,
A z bursztynów belki.*

Lucyfer-król, najmocniejszy z wszystkich cesarzy, panuje nad księżycem i planetami, i w każdym kraju, i na każ-



dej gwieździe ma swego namiestnika. Niektóre światy już mu uległy i zapchane są po brzegi jego poddanymi, a w wielu krajach możne jego władztwo.

Tylko w Polsce idzie diabłowi kulawo, więc kryć się musi po gąszczach i wertepach, aby stamtąd napadać na ludzi jak rzezimieszek.

Ale na pewno będzie inaczej, gdy Boruta się ożeni i ustatkuje. Szalawiła jest bowiem i hulaka; aż strach pomyśleć, jaki z niego lichy namiestnik. Nie posyła żadnych dusz do piekła, kościoły się w Polsce mnożą, cnotliwych coraz więcej przybywa i diabły nie mają żadnej pociechy z Polaków. Więc Lucyfer postanowił ożenić Borutę, aby się ~~ustatkował~~ ustatkował i dostawszy babę, myślał więcej o urzędzie niż ~~o kulakach~~ o kulakach.

Tak wymownie prawił poseł, pobrżękując kiesą ognistych dukatów, iż zmiękło na poły serce Jaguni, a gdy wysypał sznur koralu, płonących jak jarzębiny, sięgła po nie dziewczyna.

Lecz korale rozwiały się w mgłę za dotknięciem jej ręki,
a poseł, czytając z oczu dziewczyny pragnienie posiadania
bogactw, wyrzekł uśmiechnięty:

*Hola, mościa panno,
Wolne takie żarty,
Nie dają podarków
Darmo nawet czarty.*

— Więc powiedz panu twemu, iż go czekam, i niech
mnie bierze — wybelkotała na pół przytomna szynka-
reczka.

Rozparł się Boruta w kolasie, strojny w jedwabny zu-
pan i rysy kołpak. Cztery karosze śmigają poprzez pola.
Miotają z pyska ognistą parę, a z biczem strzela Kusy, wierny
pacholik wojewody. Pysk ma nieco szpetny, więc nadsunął
na twarz wilczurę, a wymachując nogami cienkimi jak ba-
dyle, przyspiewuje uciesznie:

*Jedzie diabeł, jedzie
Na swoje wesele,
Kontusz ma jedwabny,
Złotą karabełę.*

Hop! To koło zawadziło o granicę, aż jęknął resor, a Ku-
sy podskoczył na trzy łokcie w górę. Zaśmiał się i nucił
dalej:

*Weźmie sobie pannę
O ślicznej gębusi,
Szkoda, że ją w smole
Zaraz skąpać musi.*

Deń! To karoca nachyliła się w prawo, aż gibnął się Bo-

ruta, a Kusy zarył nosem w błocie. Otarł pysk rękawem i śpiewał znowu:

*Na nockę jej nigdy
Od siebie nie puści,
Ale na dzień zamknie.
W piekielnej czeluści.*

Zit! To pojazd śmignął przez rzekę, nurzając w wodzie Kusego, który nie zauważył przeszkody, składając piosenki. Parsknął pacholik z chłodu i przerażenia, podciął karosze i stanął przed karczmą.

Co to było za wesele!

Trzysta białych kaczorów, trzysta czarnych kogutów, trzysta cieląt i trzysta baranów zabito na ucztę weselną. Stado wołów i wieprzów padło pod nożami rzeźników, a pijatyka była tak straszna, że sam Lucyfer spadł pod stół, a diabliska potraciły rozумы z opilstwa i obżarstwa.

Tej pamiętnej nocy nie zablądził żaden człowiek na bezdroże, nikogo nie przeraził rechot diabli w pustkowiu i cicho było, i spokojnie na świecie.

Tylko na Łysej Górze trwały hałasy i trzęsła się ziemia od muzyki i lomotu czartowskich kopyt.

A gdy diabły posnęły, przysunął się pan młody do Jaguni i przemówił najdelikatniejszym głosem:

— Jaguś, możebyś chciała odpocząć? Tam wedle czeka na nasze przybycie ustrojona komnata.

A szynkarka spoglądnęła zimno na męża i odrzekła:

— Nie chce mi się spać!

— Jaguniu, serce moje, rad bym cię pocałować — szeptał czule Boruta, pochylając się nad małżonką. I byłby ją mlasnął w same usta, lecz odtrąciła go Jagunia, spluwając

z obrzydzeniem, gdyż przypomniła sobie pocałunki królewicza.

Zachnął się piekielny wojewoda i chwycił ją wpół, chcąc siłą zmusić do całowania.

Odskoczyła i okręciwszy się na pięcie rzekła:

— Nie chcę!

Więc diabeł w perswazje, nuż obiecywać, nakłaniać, grozić, zachęcać, a Jagunia ciągle powtarzała z uporem:

— Nie chcę!

Rozeźlił się strasznie Boruta, gdyż żadna dotąd dziewczka nie stawiała mu takiego oporu, i huknął, aż zagrzmiało:

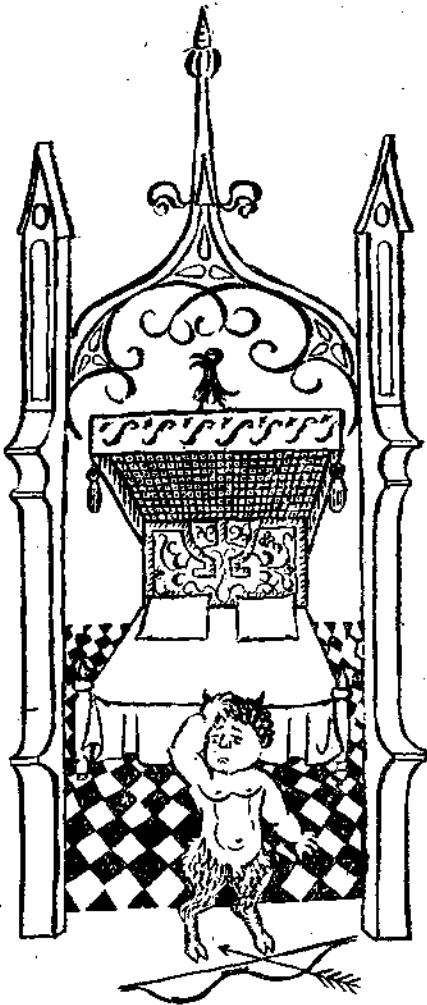
— Musisz być posłuszna!

— Nie chcę! — odpowiedziała Jagunia.

I już świt dobrze wyjrzał na niebo, a nowożeńcy certolili się jeszcze bez ustanku. A gdy jasne weszło słońce, diabły w śmiech. Tłuką się ogonami po bokach i wyją z radości, że Boruta tak pokpił sprawę z dziewczką. I dalej w kpiny ze swego brata, aż go wstyd jął, zawołał Kusego i cichcem wyjechał do Łęczycy, zostawiając gości i żonę.

A diabły w radę: Co zrobić z Jagą, czy wypędzić ją do karczmy, skąd przyszła, czy porwać żywcem do piekła i usmażyć w smole, czy też pozostawić na Łysej Górze?

Zabierali głos najmędrsi i najuczciwsi w piśmie doktorzy i kauzyperdy i uchwalili:



— Nie ma rady. Jagunia jest małżonką Boruty, więc nie należy jej ani wypędzać, ani też wtrącać do piekła. Na leżą się jej honory i względy przystojne małżoncee wysokiego dostojnika. Niech przeto pozostanie, gdzie jest, sześciu pacholików trzeba jej dać do posługi i otoczyć fraucymerem, aby nie robić piekłu wstydu. Może się wreszcie namyśli i zaniecha fochów. Wojewodziną jest i basta!

Często przypomina sobie Boruta, że ma na Łysej Górze małżonkę, i próbuje zalotów.

Dawniej, gdy był młodszy, raz wraz zjawiał się pod Łysą Górą i wzdychał, płakał, zaklinał, tłukł łbem o' głazy, ale zawsze odchodził z niczym.

A teraz, gdy się postarzał, raz w rok, w rocznicę swego wesela, która przypada w imieniny Jagunii, śmiga karocą do swej żony w nadziei, iż ją ucałuje i przyhołubi. Pędzi pojazd na przełaj po polach i drogach, a Kusy trzaska z bicia i pośpiewuje żałośnie:

*Kłopotu miał diabeł mało,
Nigdy nie bolał go łeb,
Żony mu naraz się chciało
I z czarta zrobił się kiep.
Ojej!...*

A diabelski jęk słyszą ludzie i wcale im się serce nie kraje, lecz mówią:

— Dobrze mu tak!

PAN PUŁKOWNIK ROGALIŃSKI

Po przegranej wojnie z Panem Bogiem okrutnie mścił się Lucyfer na diabłach. Klęskę swą przypisywał ich tchórzostwu, a nie woli Bożej, która jest mocniejsza od wszystkich czartów razem. Przede wszystkim zaś miał Lucyfer wielką złość do Rogalińskiego, który dowodził jazdą piekielną w pamiętnym dniu rozprawy.

Wprawdzie nie mógł zarzucić księżę ciemności swemu pułkownikowi braku odwagi, bo Rogaliński wyszedł z tej opresji mocno pokłuty i posiekany, ale wymyślał najróżniejsze zarzuty, zwyczajnie jak to bywa po nieudanym dziele.

Tłumaczył się Rogaliński, jak mógł. Udowadniał, iż zawiodła go piechota piekielna, to znów, że nie dość celnie prażyli ogniem kanonierzy diabelscy, ale to niewiele pomogło.

Gdy bowiem wspomniał Lucyfer, że bliski był już zwycięstwa, a poniósł sromotną klęskę, pieniał się do nieprzytomności i zwał swych oficerów partaczami. Belzebubowi odebrał dowództwo nad piechotą, Arazielowi zdarł szlify jeneralskie, Rogalińskiego zaś pozbawił pułkownikowskiej buławy, a na miejsce jego zamianował ułana, Lejbę, który odznaczył się w pewnej bitwie na ziemi, ale jako człowiek nie chrzczony musiał koniecznie smażyć się w piekle.

Despektu tego nie mógł przeboleć Rogaliński, poprosił więc, aby go zwolniono z piekła i pozwolono pokutować na ziemi. W cichości serca myślał bowiem: „Pokażę Lucyferowi, co znaczy dobra komenda. Usłyszy jeszcze nieraz imię moje i ciężko zabojeje nad stratą takiego oficera“.

Lucyfer podpisał pazurem abszyt aż do skończenia świata, a pułkownik zeszedł spokojnie na ziemię, aby przystać na służbę do jakiegoś wojska. Trafiało mu się kilka korzystnych miejsc, ale były one nie po jego chęci. Ojciec święty zbierał wielkie zastępy żołnierzy do walki z heretykami, więc Rogaliński mógłby był się tam snadnie wcisnąć, lecz pomyślał: „Nie wypada mi od razu zapisywać się do wojska papieskiego. Nie wywietrzył jeszcze ze mnie zapach siarki piekielnej, więc może by poznali, skąd przychodzę. Odlóżę to sobie na później, a tymczasem zwrócę się w inną stronę“.

Właśnie król pruski wyprawiał się na wielką wojnę z Francuzami. Rogaliński zameldował się u niego i pokazał abszyt z piekła.

— Brawo, znakomicie! — zawołał król. — Powiedz mi tylko, czy znasz naszą komendę?

— Jak bym nie miał znać, najjaśniejszy panie — odpowiedział diabeł — skoro w Prusach i w piekle komenderują jednakowo. — I jak ryknął: marsz, marsz, a potem halt, tak król uśmiechnął się radośnie i rzekł:

— Zmień tylko nazwisko, bo uraża moje uszy. Będziesz u mnie kapralem.

Co miał robić Rogaliński? Czy z tym, czy z innym nazwiskiem, zawsze można zejść wysoko, a kapral to nie gemeiner, poważanie u ludzi ma, dosłużyć się może marszałka, a nawet zostać cesarzem, do czego okazywał diabeł szczególną ochotę.

Nazwał się więc Kipfel i wstąpił do grenadierów.

Wielką mieli pociechę z nowego kaprala. Gdy maszerował, aż dudniała pod nim ziemia, a w całym pułku nikt się tak nie przeżył na baczność i nie umiał prezentować broni tak ostro, równo i z rozmachem.

Wiadomo, że czarci rozumniejsi są nie tylko od gemeinerów, ale nawet od wszystkich kaprali, więc gdzie kto nie mógł poradzić, posyłano Kipfla.

Najgłupszych rekrutów zmieniał w ciągu dnia w doskonałych grenadierów, świetnie mieszał sznaps z prochem i korzeniami, po mistrzowsku fiksował wąsy, iż sterczały jak druty, i nie było w ogóle sprawy, na której by się nie znał i nie potrafił jej wykonać.

Szanowano przeto kaprala i nikt mu nie sobaczył.

Pewnego dnia pomaszerował Kipfel na wartę przed pałac królewski. Diabeł zawzięty był strasznie na służbę, więc kapitan spał tej nocy spokojnie, gdyż wiedział, że Kipfel dobrze się sprawi i dopilnuje gemeinerów. Obchodzi tedy kapral posterunki, naraz straszliwy krzyk odbija się o jego uszy.

— Ratunku, najjaśniejsza pani wpadła w mdłości!

Dworzanie stracili głowę, a sam król zawołał zrozpaczony:

— Pomóżcie, kto może!

— Wedle rozkazu! — wrzasnął diabeł i wpadł do sypialni królowej. Za ledwie przekroczył próg komnaty, przybył na świat następca tronu.

Kipfel włożył go w kołyskę, a gdy nadbiegli medycy, było już po wszystkim. Mogli tylko sprawdzić, iż stan zdrowia matki jest zadowalający, a księżę zdrów i będzie się chował.

Na złość profesorom twierdziła królowa, że od niechybnej śmierci wybawił ją kapral grenadierów, przeto winien nosić tytuł nadwornego akuszerza.

Król, kierując się wolą żony, polecił wypisać Kipflowi odpowiedni dyplom i wśród bicia bębnów i grania tręb wzięto kapralowi nominację królewską.

Nie o takich jednak zaszczytach myślał diabeł, przeto czym prędzej uciekł z Prus, bo nie mógł się opędzić kobietom wzywającym jego pomocy.

Wędrując po świecie, dowiedział się, że pewien generał czeski poszukuje do swej armii żołnierzy. Bardzo to ucieszyło diabła i zgłosił się do wojska.

Kazano mu zmienić nazwisko, bo Kipfel brzmiało dla Czechów uszu nieprzyjemnie, więc czart przezwiał się Rohlik i od razu otrzymał stopień oficerski.

Cała jednak była z tym bieda, że żołnierze nie chcieli się zgłaszać do szeregów, Używano więc forteli, aby zwerbować ochotników, a porucznik Rohlik prześcigał innych w pomysłowości.

Jedni oficerzy kazali szyć dla żołnierzy piękne, czerwone spodnie, drudzy ubierali ich w kapelusze ze wspaniałymi pióropuszcami; byli tacy, którzy wysyłali mówców gadających od rana do nocy o koniecznej wojnie z nieprzyjacielem, a diabeł kazał zatoczyć beki piwa i wynajął kapele, aby grała jak najpiękniej. Sam wybijał takt pałeczką, a ludzie nie mogli się oprzeć muzyce.

I nie tylko młodzi junacy, lecz także starzy weterani, którzy na wylot znali przyjemności wojaczki, przystępowali do stołu i zgłaszali się do pułku. A kobiety nie wstrzymywały ich od tego przedsięwzięcia rozumiejąc, iż dla takiej muzyki warto nawet dać się zastrzelić.

I gdy inni oficerzy zwerbowali jednego rekruta, diabeł miał ich sto i migiem postawił pułk na nogi. Oczywiście, iż chciał być pułkownikiem, lecz generał był innego zdania:

— Zwerbowałeś jeden pułk, werbuj teraz drugi, a gdy zwerbujesz dziesięć, zamianuję cię naczelnym kapelmi-

strzem meej armii i dam wylaczone prawo szynkowania piwa w mym wojsku.

Inny na miejscu diabla bylby zadowolony z tej obietnicy, ktora mogla uczynic czlowieka bogatym, chooby nawet warzyl czysty jeczmiem i mieszal go z prawdziwym chmielem. Nadziwic sie wiec nie mogli ludzie, ze Rohlik srodze sie obrazil na jenerala i wręcz oswiadczył, ze opuszcza sie wojsko, bo nie chce być szynkarzem ani muzykiem.

Wlascie w Polsce ogłoszono pospolite ruszenie. Rogaliński wrócił do dawnego nazwiska i co tchu zdążal do Warszawy, aby przybyć jak najszybciej i okazać w ten sposób swą gotliwosc. W glowie zaś wazyl lajdacki plan. To, co nie udalo mu się z królem i jeneralem, na pewno się uda z bracia szlachta.

Wmieszal się wiec w tłum, spieszący na rozkaz królewski, i poczał wypytywac o dowódców i hetmana, nie żalując im przycinków i wyzwisk.

— Mówicie, ze jego ność Łaszcz dowodzić będzie pancerną chorągwią królewską? Dobry wódz, tylko niedowidzi i sam słyszałem, jak radzil się medyka z Holandii, co ma robić, aby mu się w oczach nie troilo. Pod rozkazami takiego pulkownika nie chcialbym nastawiac karku, dlatego wole wybrac inną chorągiew.

— Lecz do jakiej się zapisac? Bozenta podobno rycerz nienaganny...

— Bogać tam, stryjec jego zbisurmanil się i jest paszą tureckim. Wiem dobrze, ze synowca chce przyciągnac na swą stronę i obiecuje mu sto najslicniejszych odalisek, byleby przeszedl do sultana i dopomogl mu do zwyciestwa. Bozenta strasznie lasy na kobiety, wiec nie wiadomo, co zrobi, wotalbym innego dowódcę.

— A co powiadacie o starym Orzejce?

— Rozum mu już wysechl ze starosci — odpowiedzial

diabeł — sługus daje mu co dzień wilgotny plaster na głowę, ale to niewiele pomaga.

Nim dojechali do Warszawy, huczało już w całym wojsku niezadowolenie i coraz jawniej wykrzykiwano:

— Rogaliński naszym wybawcą, on nas powiedzie na Turka i nie da zniszczyć narodowi szlacheckiemu!

Najgłośniej zaś gardłował za diabłem pan Szeliga z Orońska, otrzymawszy wprzód obietnicę znacznego urzędu, jako że mocno podupadł na majątku z powodu procesów i łapczywości na jadlo i napitek. Trzymał się więc diabła i był mu dobrym towarzyszem.

Rozzuchwalony zaś czart poczynął coraz zuchwalej. Rozpuścił gębę jak kołowrót, jednego wychwalał, drugiemu współczuł, a innych łudził obietnicami, schlebiając wszystkim.

Aż dnia pewnego, gdy tłumaczył Rogaliński korzyści, jakie wynikną z jego wyboru na hetmana, wysunął się pan Klemens Jędrzejewski, chudzina, ale mocny w języku, i huknął diabłowi nad uchem:

— Łiesz, sobako!

Poczerwieniał Rogaliński jak burak i chwycił za szablę; aby nauczyć rozumu zuchwalca, a pan Klemens myk za plecy panów braci, z natury był bowiem łagodny i nie chciał krwi rozlewu.

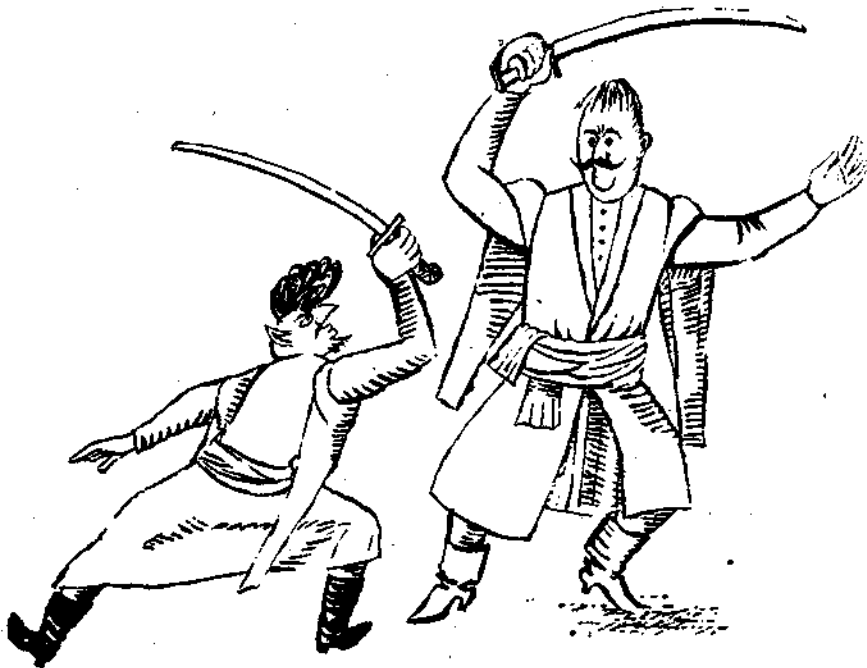
Diabeł zaś myśląc, że chudzina tchórzy, tym goręcej napierał się do walki, wołając na cały głos:

— Uszy obetnę, nos odrąbię, pysk naznaczę, brzuch rozplatom! Stawaj waszeć, bo utłukę pięścią jak pacholka.

Pan Klemens westchnął pobożnie do swego patrona, powoławszy się na świadectwo panów braci, iż pod przymusem tylko idzie na metę, wyciągnął szerpentyne i błysnął nią przed oczyma diabła.

Co Rogaliński śmignie, pan Klemens odeprze cios i wymówi imię opiekuna, któremu się w tej chwili polecił. Gdy wezwał pomocy Józefa z Kupertynu, czuł, jak osłabił rozpęd szabli diabelskiej, przy Nazarym biskupie zwinęło się ostrze szatańskie, gdy zaś wymówił imię Romana żołnierza, Rogaliński odsłonił pysk, a Jędrzejewski ciął na odlew primą raz i drugi od czola aż po brodę. Diabeł runął na ziemię, dusząc się własną posoką.

W Orońsku u przyjaciela Szeligi lizał się Rogaliński z ran, pomstując na przypadek, który mu wytrącił z ręki buławę hetmańską. Obiecywał sobie jednak odzyskać utraconą sławę i odemścić swą krzywdę na panu Jędrzejewskim. Szeliga nie tracił również nadziei. Nie udało się



teraz uzyskać urzędu, uda się po raz wtóry, grunt, aby poczekać na okazję i w porę zabrać się do rzeczy. W Polsce nie należy rozpaczać, zawsze się znajdzie pocieszenie!

Tylko że we dwóch było im niewesoło, a bali się powiększać kompanii, nie ufając nikomu. Pół biedy jeszcze w lecie. Skoro zaś nastały chłapy jesienne, nawiedzał ich ponury smutek. Sączyli kufle ciepłego piwa, a gdy trunek ogrzał im głowy, krajali się bezlitośnie językami, a nieraz nawet chwyтали za obuchy, tak że zwaśnionych musieli rozdzielać domownicy. A wszystko dlatego, że bawili się wspomnieniami dobrych czasów, a terażniejszość wydała się im gorsza od przeszłości.

Rok już minął i drugi dobiegał do połowy, a okazja jeszcze nie nadeszła, aby ponowić starania o hetmaństwo.

Pewnego grudniowego wieczora rozeźlił się Rogaliński więcej niż kiedykolwiek. Palnął ręką w stół i wyrzekł:

— Panie Szeligo, dość tej mitręgi, niczego dobrego się tu nie doczekamy! Cóż z tego, że każdej niedzieli wypędzam twą służbę do kościoła, że namówiłem cię do wielkanocnej spowiedzi i kilku dobrych uczynków, książę ciemności nie zwrócił nawet uwagi na te drobnostki i ani razu nie zasępił się z tego powodu. Stary już jesteś, ledwie się trzymasz na nogach i niedługie twe życie. Od gorzkiego piwa i flaków z imbirem już oblażł mi język, a niebawem i to się skończy, więc muszę cię opuścić.

A gdy tak mówił diabeł, łzy mu napływały do oczu i kapwały na posadzkę, zostawiając niezmyte plamy, z gardzieli zaś wydobywał się tak żaloszny jęk, iż psy wyły z przerażenia.

— Gdybyż choć wolno mi było robić pieniądze albo wygrzebywać skarby zakopane w ziemi — mówił Rogaliński — jeszcze bym wytrzymał; ale tego właśnie zabronił mi Lucyfer i solenne odebrał przyrzeczenie, iż własnym prze-

mysłem zarobię na sobie. Dłużej już cię nie mogę obja-
dać i dzisiaj jeszcze ruszam w świat.

Przykre było rozstanie przyjaciół. Ucałowali się z du-
beltówki i przyrzekli nie zapominać o sobie. Diabeł, pod-
pierając się kijkiem, znikł za grabową aleją.

Wiele wojsk przewaliło się przez Polskę, a Rogaliński
próżno szukał okazji, aby uzyskać buławę. Namawiał, pro-
sił, obiecywał — śmiano mu się w twarz, ukazując od-
lupany nos i szramę na policzku.

Więc okrutną złością zapalał diabeł do sprawcy swych
nieszczęść i postanowił go odszukać, choćby miał uchościć
nogi. Bywał na jarmarkach i odpustach i wszędy pytał:

— Widzieliście gdzie chudziarę Jędrzejewskiego, bo
mam z nim porachunek?...

A ludzie odpowiadali:

— Nie z naszej okolicy, więc nic o nim nie możemy
powiedzieć.

Aż wedle Brwilna natknął się diabeł na bałagule, który
go naprowadził na dobry ślad.

Idąc wskazanym tropem napotkał pana Klemensa, wy-
chodzącego wraz ze swą małżonką z kościoła. Rogaliński
cofnął się za węgiel domu i pomyślał: „Teraz mu nie dam
rady, bo umoczył rękę w święconej wodzie, ale poczekam
do najbliższej sposobności“.

I diabeł dotychczas czeka.

Źle mu się wiedzie i często znosi biedę. Jakiś czas ogry-
wał szlachtę i kupców w karty, ale rychło nauczyli się
szulerzy sztuczek diabelskich i zabrali czartowi ostatni
szelązek z kiesy, potem został adwokatem i forytował
w sądach sprawy, lecz wkrótce kauzyperdy prześcignęli
mistrza i zapędzili go w kozi róg.

Rogalińskiego nie opuszcza jednak fantazja i wierzy, że zostanie hetmanem, choćby nawet nie rozliczył się z panem Jedrzejewskim. Musi bowiem pokazać Lucyferowi, jak się prowadzi jazdę, musi. W tym celu zeszedł przecież na ziemię i znosi niewygody, wyśmiany jest i okaleczony.

Taka zawrzała w; diable zawziętość na Lucyfera, iż gotów był nawet darować krzywdę chudziarze, który go szpetnie naznaczył na pysku i odrąbał kawałek nosa, byleby mu dopomógł do uzyskania komendy.

. Lecz pan Klemens ani myśli o tym. Żyje w zgodzie z Bogiem Wszechmogącym, o diabła nie dba, lecz na wszelki przypadek nosi u boku poświęconą szerpentynę. Nie tyle z obawy, ile z przezorności.



Zebrały się diabły w Niepustowskim młynie i radzą:
— Co do licha, od roku ani jednej polskiej duszy nie
pożarło piekło i jak tak dalej będzie, przyjdzie spakować
manatki i fora ze dwora.

Lucyfer nie żartuje, a nieraz już mawiał, że polskie
diabły ciemni i niemrawce, bo nie umieją sobie zjednać
powagi wśród ludzi i zamiast królować w pałacach, miesz-
kają w psich budach i lisich norach. Łatwo to mówić, lecz
w Polsce do człowieka ani dostap. Zwęszy diabła na mil
dziesięć, zeklnie i przegoni, jeśli nie kropidłem, to świętym
słowem, od którego cierpną czarty i dostają mdłości.

Jeszcze tu i tam zdarzyło się dawniej ułować jakąś du-
szyczkę. Głupia była, bo głupia, ale w piekle nikt o mą-
drość nie pyta, gdyż dość jest tam diabelskich rozumów.

Ostatnia była zezowata Ewka. Gębę miała posiekaną
ospą, a zachciało się jej chłopaka jak świeca.

Czemu nie? Przysłużyli się jej diabli, dobrze przysłu-
żyli, dziury na gębę załatali, oko wyprostowali, sukienek
dostarczyli, a potem za łeb i do smoły.

Siedzi już w niej, unurzana aż po dziurki w nosie,
i przeklina swą grzeszną żądę.

Ale od czasu złowienia Ewki jakby się zacięło. Choć czarty trudziły się do krwawego potu i biegały z wywieszonymi ozorami, nikogo złapać nie mogły, kto by miał ochotę smażyć się w kotle. Nawet złodziej Walek, który od roku siedzi w wieży okuty łańcuchami i niebawem zawisnie na haku, nie dał się skusić.

Przyszł do niego sam Pronobis i powiada:

— Panie Walenty, przyrzeknij, że nigdy nie będziesz żalował za grzechy ani nie zapragniesz księdza przy skonaniu, a zrobimy cię najszczęśliwszym człowiekiem. Odzyskasz zaraz wolność, dostaniesz wór pieniędzy i sto morgów pszennej ziemi.

A ten obwieś nie tylko, że nie przyjął ofiary, ale szpetnie zwymyślał posła i kazał mu wynosić się czym prędzej.

Takie to nastaly dla piekła czasy.

Zebrały się więc diabły we młynie, pozasiadały na workach w pobliżu wielkiego kamienia, zaćmiły lulki i szwargocą. Naraz Rzechoń, diabeł bardzo stateczny i wypróbowany w wielu radach, powiada:

— Wszystkiemu winni gorzelnicy. Warzą teraz tak podłą wódkę, iż nawet diablom trudno ją przepuścić przez gardło. Jeśli czarci w niej nie smakują, jakżeż rozpijać się mogą ludzie, wybredniejsi od diabłów?

— Asan wszystko mierzysz szklanką i kieliszkiem! — zawołał kamrat Lubicz. — Istotna przyczyna naszego niepowodzenia spoczywa w drożyźnie. Czyż człowiek może łamać posty i obżerać się, skoro na suchy chleb mu nie starcza, a cóż dopiero na tłusty poleć: Jeśli schaby potanieją, naspędzamy grzeszników pełne piekło — dowodził smakosz.

— I to prawda, i tamto prawda — potakiwały diabły i chciały już biec, aby zaprowadzić nowy porządek na świecie.

Opamiętał ich jednak magister Erazm.

— Prawdziwy powód naszej bezradności jest inny — dowodził uczony. Zdanie Erazma ważyli sobie wszyscy jego druhowie, więc nastroszyli słuchy i rozwarli szeroko gęby, zwyczajnie jak to bywa, gdy ciekawość zanadto na uszy napiera. — Zgubą naszą są księża i mnichy. Gdyby nie płątały się po ziemi te czarne, bure, gniade, białe sutanny i habity, już by dawno rozpościerało się wszędy królestwo szatańskie.

— Nienawidzę tych łysych łbów! — krzyczał Bogulec.

— I tych gniadych kapturów! — wtórował Mizdroń.

— Gdybym mógł, wysieklbym ich wszystkich i wytopił! — ryczał okrutny Pazdroń.

Erazm, czując iż cała kompania podziela jego zdanie, prowadził rzecz dalej:

— Polacy są tak posłuszni, że na wyścigi spełniają każde żądanie księży. Mówi proboszcz z kazalnicy: „nie zabijaj” — nikt nie zabija, „nie kradnij” — od dziesiątka lat nie ukradziono nawet kury.

— Z małymi wyjątkami — wtrącił Ossoria.

— Drobiazgów się nie liczy — odparł mówca.

— Małżonkowie żyją cnotliwie...

— Coś o tym wiem — dorzucił zawsze niezadowolony Ossoria.

— Wiesz dobrze, bo ci gnat przetrącono — odpalił z miejsca Erazm.

— Sam sobie przełamalem, gdym skakał z okna, nie chcąc narazić damy na obmowy.

Diabły zarechotały uciesznie, a mówca prawił dalej:

— Jedyna rada, sami zbudujmy kościół i naznaczmy własnego proboszcza, a sprawa pójdzie gładko. Napędzimy do piekła tyle duszyczek, iż zakasujemy nawet diab-

łów francuskich, którzy cieszą się łaskami i uznaniem zwierzchności.

— Co waszmość powiadasz?... — pytały zaskoczone tym pomysłem czarty.

— Ano kościół z trzema wieżami, budowany z kamienia, podstawnię i okazale, z boku dzwonnica, jak się patrzy, a trochę dalej probostwo. Proboszczem będzie Purchetka, jako że miękki jest w gębie i ukladny, a na inne godności wybierzemy odpowiednich kamratów.

Do samej zorzy radzono nad pomysłem magistra, który słynął z niepospolitej mądrości, gdyż nie tylko pisywał diabłom listy do ziemskich kobiet, ale umiał także układać pozwy sądowe, a czasami nawet, gdy mu się uprzykrzyło kiwanie nad grubą księgą, z którą się nigdy nie rozstawał, szedł do trybunału patronować jakiejś nikczemnej sprawie i tak ją pogmatwał, że chyba do końca świata nie rozwikłają jej sędziowie.

Diabły kręciły łbami z niedowierzaniem, pukaly palcami w czoło, a Erazm zabrał się razno do dzieła.

Nazajutrz rankiem dobił targu z panem Wolkkiem, który był człowiekiem łatwym do interesu, bo stale potrzebował pieniędzy. Kupił kawał ziemi wedle Niepustowskiego młyna, a nad wieczorem rozpoczęły diabły robotę.

Naschodziło się tej hołoty kilka tysięcy. Byli dludzy i cieney, grubi i podsadkowaci, jedni orłeli czupryny jak owcza wełna, drugim zwieszały się małe koltuny, przyszli kulawi i zezowaci, chuderłasy i chłopcy walne, a każdy brał się do dzieła wedle możności i bez rozleniwienia.

O północy stały już fundamenty, do południa mury, a nad wieczorem dach z miedzianej blachy pokrywał budowlę.

Nim drugi dzień minął, wznosiła się wieża i dzwony zawieszono na szczycie, a w kościele grały organy, nie tak

wprawdzie pobożnie jak w innych świątyniach, lecz zawsze mile do słuchu i czule dla serca.

W najbliższą niedzielę zebrało się już ludzi niemało, a Purchetka wlaź na ambonę, aby wygłosić kazanie.

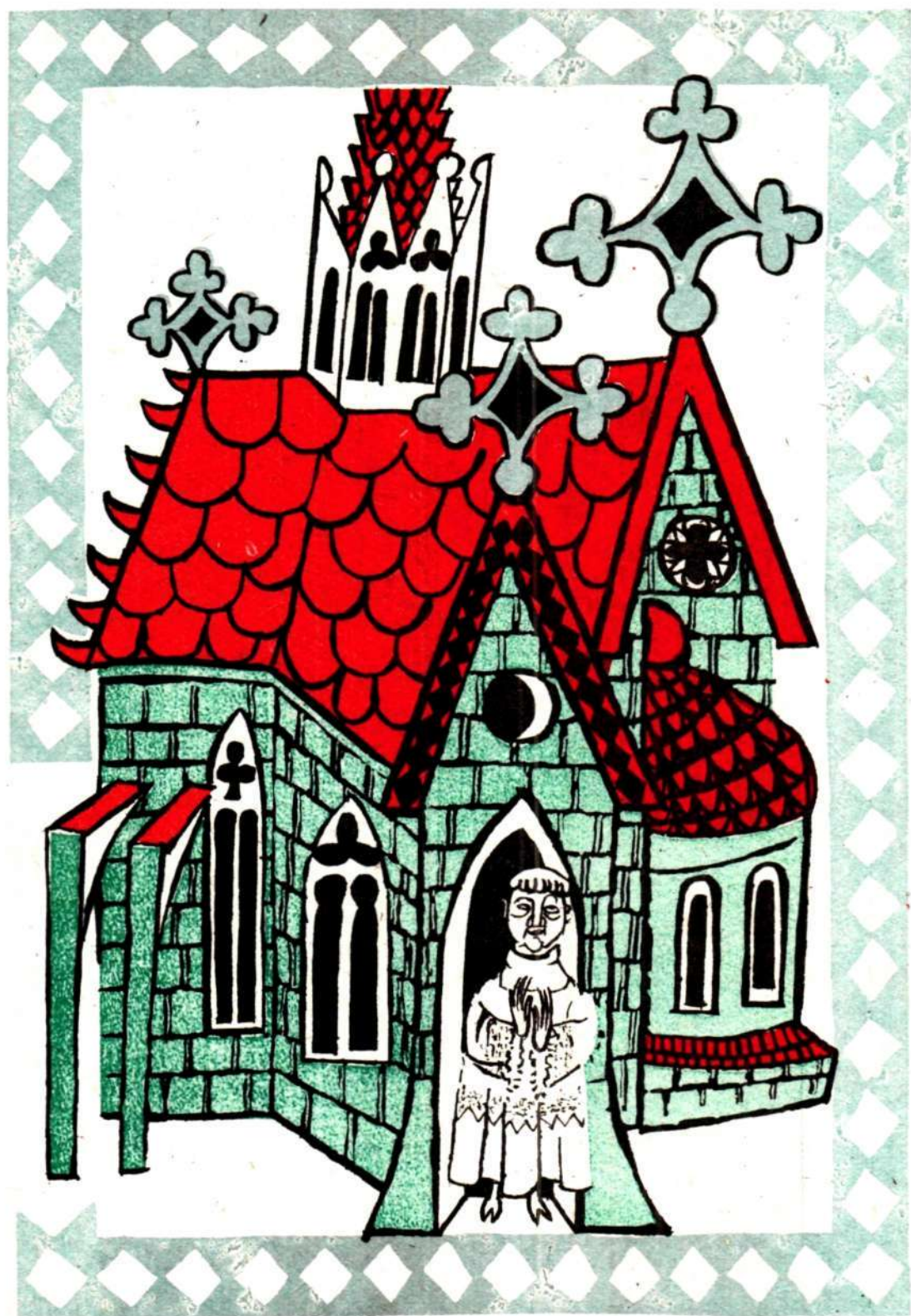
Ślicznie mówił i bardzo do rzeczy. Nie ganił, nie straszyl mękami i piekłem, łaskawy był dla grzeszników i wyrozumiały na słabości ludzkie. Ani też chciał, aby mu rzucali ludzie groszaki na tacę jako jałmużnę, lecz ze swego często dawał, bo pieniędzy miał w bród, tak jako i wszyscy diabli.

Nic też dziwnego, że pleban bardzo się podobał wier-
nym, więc wędrowali do niego ludzie nie tylko z pobliza, ale nawet z dalekich okolic, bo nigdzie nie można było dostać szybciej odpuszczenia grzechów jak w Niepustowie, nigdzie łatwiej nie przebaczano wiarołomstwa, kłamstwa, oszustwa i łamania postów jak w nowym kościele, a o pokucie nikt nawet nie myślał, gdyż proboszcz nie obarczał nią grzeszników i nie domagał się zadośćuczynienia za popełnione winy.

Podobnie też czynił wikary, diabeł młody i wesół. Niby chodził w sutannie i nosił pod pachą brewiarz, ale gdyby nie to, nikt by go nie mógł uważać za duchownego, bo gracko ciągnął z butelki, na weseliskach hulał jak dragon, a do dziewczyn tak się uśmiechał, że płonęły jako wiśnie.

Sarkali na te przyśmieszki starsi ludzie, ale tłumaczyli sobie, że młodość jednaka jest, czy to w sutannie, czy pod dragońskim mundurem, a z biegiem lat się ustatkuje.

Najczulej za to myśleli parafianie o organiście. Co to był za człowiek, trudno wypowiedzieć! Gdy wlaź na chór i zaśpiewał, drżały szyby kościelne, a przy pogrzebach tak jakoś zawodził, że choć ludziom kapaly łzy z żalu za nie-



boszczykiem, na śmiech się im zbierało i weselszą stawała się boleść.

W kompanii zaś nikt go nie prześcignął.

Żyli w Niepustowie srodzy pijacy i dowcipni franci, ale organista wszystkich przepił i każdego z nich przedrwił, gdy zaś rozpoczął opowiadać, to słuchacze trzęśli się ze śmiechu i prosili, aby już przestał mówić, bo zadławia ich kolki od rechotania.

Raz tylko zastanowili się ludzie, że organista zanadto dokazuje. A stało się to z następującego powodu:

Głupiej Banasiowej urodził się syn, a powiła go akurat w sam Wielki Piątek nad ranem. Przychodzi organista do matki i rzecze:

— Ochrzczij zaraz syna, bo ci się nie uchowa!

A nierozumna baba w płacz:

— Synuś mój najmilszy, pociecha jedyna, miałżeby mnie opuścić?

Organista zaś smyk ręką do kieszeni, wyciąga jedną flaszkę wódki, potem drugą, trzecią, dziesiątą, pięćdziesiątą, zastawia pełny stół mięsiwem, wtacza baryłki piwa pod ścianę, a dla godniejszych antałki miodu, gdy zaś wypróżnił kieszenie, mówi:

— Wszystko już przygotowane, tylko proś gości.

Baba jak baba, w boleściach i radościach straciła rachubę kalendarza, pozwala kumów na chrzciny, a gdy skosztowali po kieliszku, tak im zmaćciło w głowie, że pili, jedli i hulali aż do Wielkiej Niedzieli, zapominając o Męce Pańskiej i o Zmartwychwstaniu.

A gdy nie proszeni na chrzciny znajomkowie poszli do proboszcza ze skargą, że u Banasiowej zgorzenie i hulałyka, uśmiechnął się obleśnie fałszywy pleban i powiada:

— Mili bracia i siostry! A cóż wam do cudzej chałupy,



gdy w swojej nie widzicie śmietniska. Idźcie i myślcie tylko o sobie!

Na całym probostwie nie udał się tylko dziad kościelny. Gębę miał bardzo szpetną i kudłami obrosłą, spogądał spode łba na ludzi i często słyszano, gdy mówił sam do siebie:

— Głupia robota, wolałbym już w piekle chodzić ze ścierką za Lucyferem albo za karę psy w gębę lizać, niż bawić się takim blażeństwem.

Skarżono się więc, że dziad źle zamiatał kościół, świece niedbale zapalał, a sznury ciągnął tak leniwie, że o małe

stajanie nikt już nie słyszał dzwonięcia.

Dziad nie odpowiadał na zarzuty stawiane mu przez parafian, ale widoczne było, iż niespokojne miał sumienie, bo ludzi unikał i niechętnie wdawał się z nimi w gawędę, nazywając wszystkich w czambuł głupcami, z którymi nie warto strzępić sobie języka.

Zdarzyło się, że do Niepustowa przyjechał znakomity scholastyk i spojrzawszy, jak gospodarują na probostwie, nabral podejrzania, że coś się w tym kryje złego.

Odwiedził proboszcza, rozmówił się z wikarym i wziął na spytki kościelnego, lecz niczego się nie dowiedział. Odpowiadali jak z brewiarza lub rubryceli, a gdy zaczęli sypać kanonami i powoływać się na dekrety, pomyślał scholastyk: „Źle, diabły są chyba, a nie ludzie, bo żaden

klerykus, a kto wie, czy nawet dziesięciu doktorów razem ma tyle w głowie, ile każdy z nich z osobna“.

Scholastyk uzbroił się więc w wodę święconą i kropidło i nie mówiąc nic nikomu, podsunął się pod mur kościelny.

Rano to było, a z probostwa wytoczył się dziad, aby zadzwonić na pierwszą modlitwę. Nałożył tytoniem lulkę i poczał krzesać ogień. Szło mu niesporo, bo hubka była wilgotna, więc tłukł kamieniem o żelazo, sierdząc się, że iskra nie chwyta.

Widzi scholastyk, że diabeł krzesze obiema rękami ogień, a dzwony dzwonią.

„Cóż u licha, jak to być może?“ Wychylił się lepiej za mur i własnym oczom nie wierzy. Dziad ciągnie sznury ogonem, a z pyska bucha mu para, klując nozdrza szpetnym zapachem.

— A tuś mi, bratku — ryknął scholastyk ze zgrozy oraz z oburzenia i nie zwlekając chwili, poczał kropić kropidłem i wywoływać egzorcyzmy, które rażą diabłów jak pioruny.

Dziad zaś w nogi...

Nie zdążył jeszcze obuć butów, bo zbyt długo wylegiwał się w barłogu, więc scholastyk dojrzał najwyraźniej w miejscu stóp końskie kopyta.

Uczony profesor nie miał już wątpliwości, co zacz są ci kapłani. Śmiało więc podążył do probostwa, śmigając na prawo i na lewo kropidłem. Ledwie zaś otworzył drzwi, diabły w komin, i tyle ich było widać.

W tej chwili zatrzęsła się ziemia i huk straszliwy doleciał do uszu scholastyka. Wybiegł i patrzy — kościół wali się z trzaskiem i przepada pod ziemię, a w miejscu dawnej budowli toczy się bełt wodny, zakrywa dzwonnice i probostwo, podchodzi pod mur kościelny i zatrzymuje się u granic cmentarza.

Uczony mąż miał jeszcze tyle przytomności, że skoczył poza bramę i w ten sposób uratował swe życie.

Do dzisiejszego dnia można oglądać staw w Niepuszowie; niezbyt jest wielki, lecz do dna jego nie dotarł żaden żywy człowiek. A próbowali już niejedni...

Zaświadczają natomiast wiarogodni ludzie, że diabły dotąd jeszcze odprawiają tam swe nabożeństwa. Mamrocą coś niezrozumiale, tłuką się w piersi i przyklękają, dzwonią i kadzą, a dla omamienia dusz wykrzykują wyraźnie — *Amen*.

Nikt się jednak nie złapie na to jedno słowo, bo podobnych głupców nie ma już teraz na świecie.



POKARANIE MEFISTA

U bzdurały sobie diabły w Warszawie, że w ogóle nic już nie znaczą. Mizdrzą się, stroją, sypią złotem, gdzieś niektórzy nauczył się od Osmółki brzdąkać na lutni i składać madrygały, lecz w żaden sposób nie mogą wyjść na swoje.

Kobiety nic sobie nie robią z ich najśłodszych zaklęć, i to nie tylko młode i ponętne, ale nawet tęskniące wdowy byle jak sobie ważą najwymyślniejsze pokusy.

Przed niedawnym czasem zakradł się Wielgusz pod alkowę Agaty. Noc była cicha, pachnąca bzem i księżycem, rajca ubawiał się z rajcami, deliberując o doniosłych sprawach, a pani Agata otwarła okno na ścieżaj rozważając, iż smutna jest dola żony ważnego w mieście człowieka.

Wielgusz rozwarł szeroko gardło, brzdąknął w struny i jak mógł najrzewniej zanucił:

*Źle stworzenie się czuje,
Gdy je miłość nurtuje,
Wszędy smutno jak w grobie,
Milo tylko przy tobie.*

Głos śpiewaka brzmiał trochę fałszywie i chropowato,



ale rymy były składne i winny trafić wprost do serca. Długo składał je Osmółka, a pomagało mu w tym sześciu innych diabłów, więc nieprawdopodobieństwo, żeby nie wzruszyły kobiety.

Tymczasem opuszczona przez męża rajczyni nie okazywała ani śladu przejęcia...

Wielgusz podsunął się więc bliżej pod okno, wspiął się na palcach, jak

mógł najwyżej, i prawie do ucha zaśpiewał niewieście:

*Dusza z zimna nieżywa,
Febra serce rozrywa,
Lecz mam ważką nadzieję,
Że się z tobą ogrzeję.*

— Lotrze, hultaju! —
zawołała urażona białogłowa i odskoczyła w głąb komnaty, aby plusnąć dzban wody na łeb luna-tyka, który błądzi o księżycu i wyśpiewuje nikczemne piosenki.

Diabeł nie czekał takiego podziękowania, lecz cofnął się za węgiew domu, bolejąc nad niepowodzeniem.

W tej chwili zaszeleściły na ulicy eiche stapania, a Wielguszowi zdało się,



iz spod ziemi wyrósł zgrabny młodzieniec, odziany w długą jedwabną delię i beret z piórem.

Panicz sklonił się zgrabnie Agacie i wspiąwszy się zwinnie, wskoczył do komnaty. Rajczyni zatrzasnęła okno i milczenie zapanowało w domu.

Wielgusz czekał do rana, ażeby wybadać, kto jest jego rywalem, lecz nie mógł rozwiązać zagadki. Młodzieniec oddalił się inną drogą, jak, kiedy i którędy — nie wiadomo. Widocznie zapadł się w ziemię.

Odkrycie to zaniepokoiło diabła: Czyżby człowiek mógł w sprawach miłości mocniejszym być od synów piekła? **Możliweż to?**

Ze spostrzeżeniami swymi nie zdradzał się przed nikim, dopóki nie dotarł do jądra rzeczy. Niedługo po tym zdarzeniu wpadł Wielgusz na trop tajemniczego młodzieńca.

Był w Warszawie ubogi skryba, który nie pilnował ani wagi, ani rzemiosła, żył z miłosierdzia ludzkiego, a dnie i noce trawił nad księgami, szukając prawd nie znanych nikomu.

Krażyły wokół niego diabły, zaglądały mu w księgi i skrypta, ale zmiarkowały, iż nic mądrego nie wymyśli biedaczek, więc zostawiły go w spokoju. Co bowiem diablom po biedaku? Niewiele może, bo ludziom jest niemily! Słuszne więc, że czarty więcej dbają o kupców, ziemian i rycerzy niż o skrybów w księgach zadłużanych.

Ale pewnego dnia Wielgusz zrobił wielkie oczy, gdy ujrzał biedaka. Nie był to już ten sam człowiek. Ustrajał go drogocenny atlas, a przed nim kroczył sługa i roztrącając przechodniów wołał:

— Miejsce dla dostojnego Magistra!

• I nie żywił się już uczony z garnuszka, który mu przysyłali dobrotliwi mieszczanie, lecz zastawiał obfity stół,

zapraszał znakomitych mężów oraz takich, którzy by mogli być znakomitymi, gdyby nie prześladowała ich fortuna.

Diabłowi nie mogło się pomieścić w głowie, skąd takie bogactwa spłynęły na skrybę, i wietrząc złą sztukę, postanowił wybać sprawę.

Próbował nawiązać przyjaźń z magistrem, lecz uczony zasypał go takim mnóstwem sentencji ze starożytnych i nowożytnych autorów, że diabłowi aż zmąciło się w głowie.

Nie dał się wprawdzie na niczym złapać, ale zmiarkował, że drugi raz mógłby nie wytrzymać próby, więc wołał zaprzyjaźnić się z famulusem mędrca.

Przyszło mu to łatwo i po dwóch godzinach byli jak dwaj rodzeni bracia.

Johannes, tak się bowiem nazywał sługa magistra, bardzo wychwalał swego pana, któremu niedawno los się odmienił, odkąd podpisał diabłu cyrograf na własną duszę.

— Jakiemu diabłu? — zawołał Wielgusz.

— Mefistofeles ma na imię — objaśniał famulus. — Młody jest, bardzo gładki, chodzi ubrany z niemiecka, z mistrzem rozmawia po łacinie, z niewiastami po włosku lub hiszpańsku, wcale nie czuć go smołą lub siarką, a obyczajnie ma tak wdzięczne, że z biedą dorówna mu drużyna królewska.

Wielgusz aż przysiadł na ziemi, słysząc te słowa, i zawołał:

— Jedwabną nosi delię i beret z piórem?

— Ten sam, ten sam! — zakrzyknął Johannes. — Co kilka dni odwiedza mego pana i zostawia kiesę dukatów.

— O nikczemnik, o oczajdusza! — srożył się Wielgusz. — Co mu do nas? Po co tu włazł? Mało ma swego kraju, że się pcha do naszego?!

I diabeł, nie czekając już na świeży antałek malmazji, który wnosił gospodarz, wybiegł z oberży i lotem skoczył pod suchą wierzbę, gdzie co wieczora zbiegały się diabły na rejdy i chichoty.

Nikczemne to było zgromadzenie. Patrząc po pyskach, można by było umrzeć z przerażenia, kto jednak zdobył się na trochę odwagi, sądził rzecz inaczej.

Diabły bowiem nie są takie straszne, jak je malują, a najobrzydliwsze monstra najmniej przynoszą ludziom szkody, gorsze są te piękne, wabne i układne, ale takich niewiele jest na polskiej ziemi.

Więc gdy Wielgusz zaczął opowiadać o Mefistofelesie i opisał, jak wygląda ten przechera, czarty przerwały śpiew przy lutni, w czym zaprawiał ich Osmółka, i opuściwszy na dół ogony, spozierały smętnie po sobie, czuły bowiem, iż zbliża się wielkie nieszczęście.

Od początku świata nie było wypadku, ażeby diabeł wyrósł tam, gdzie go nie posiano, a cóż dopiero wkradł się w cudze kraje, przeznaczone dla kogo innego.

Widocznie chciał się wkupić w łaski Lucyfera i pokazać, co umie, aby księżę piekielny wyrzucił z Polski Borutę i jemu, marnemu sługusowi oficerów piekielnych, który chadzał tylko na przeszpiegi i chwycił się różnych łajdactw, ofiarował godność wojewodzińską.

— Łajdak, podlec — syczały diabły kręcąc ogonami jak skrzydłami wiatraka i parskały taką złością, iż wierzba stanęła w płomieniach od gorąca czartowskiego oddechu.

Srożył się nawet kusy Werner Niemczura, bo chociaż był rodakiem Mefista, przysłanym do Polski, ażeby kusić przejezdnych kupców i wybijać dla nich fałszywe talary, uchodził za porządnego diabła i cieszył się poważaniem kamratów.

Rozgniewane czarty chciały natychmiast biec schwytać Mefista i zatłuc go jak pospolitą szelmę, ale do upamiętania przywiódł ich czart Mizdroń, bardzo mądra sztuka, który byłby został profesorem krakowskim, gdyby pewien świątobliwy bakałarz nie rozpoznał w nim diabelskiej postury i nie zawiadomił o tym kolegium. Mizdroń tedy wdrapawszy się na wierzchołek wierzby przemówił do zebranych:

— Bracia czarty! Próżne wasze wysiłki, przecież diabła nie zatłuczecie, bo tak postanowione jest od wieków. A na szczywaną sztukę trzeba użyć fortelu. Niech Orkiusz i Czerniec ubiorą się w kaptury mnisze i rozplątają to, co namotał Mefisto. Ciężkie to będzie zadanie, ale nie ma innego sposobu, ażeby przechytryć Niemca.

Radę Mizdronia poparł Pronobis i Ossoria, a Werner obiecał narobić w mieście hałasu i ostrzec ludzi przed młodzieńcem w delii i berecie. Nie zaniechano też zawiadomić egzorcystów, aby przygotowali kropidła. Inne diabły miały czekać rozkazów Wielgusza, który objął komendę w tej wyprawie.

Nie tak łatwo jednak było wpaść na ślady Mefista. Ukrywał się między ludźmi, znajdując najwięcej upodobania w towarzystwie kobiet, świadczył im bowiem rozmaite grzeczności, bo ponad wszystkie delicje przekładał kobiecie alkowy.

Długo więc włóczyli się Orkiusz i Czerniec i na nic ugaadywali języki, głosząc tak wzniosłe cnoty, że aż dziwili się proboszczowie, a mieszczenie mówili między sobą:

— Święci mężowie do nas zagościli; słuchajmy ich, albowiem złote płyną z ust ich słowa!

Najbardziej występowali zaś dwaj mnisi przeciw biało-głowskim grzechom, jako to: szaty strojne, lica malowane, drygi taneczne i baraszowanie z gachami.

Zwłaszcza przeciw tej ostatniej przewinie kazali tak płomiennie, że statecznym obywatelom łzy płynęły ciurkiem z oczu, a żony ich przejmował dreszcz strachu na myśl, co to będzie, gdy staną na Sądzie Ostatecznym. W niedługim czasie nie było ani jednej niewiasty w Warszawie, która by nie wysłuchała kazania, bo gdy iść się leniła, ciągnął ją mąż lub ojciec za rękaw na naukę.

Coraz ciasniej więc było Mefistofelesowi i gdyby jeszcze tydzień lub dwa potrwały te kazania, musiałby wyjść z miasta, gdyż wszyscy mieszkańcy zamieniliby się w świętych.

Postanowił zatem ubezwładnić mnichów, zamknąć im usta, a gdyby to się nie udało, podstępnie zakatrupić.

Pomylił się jednak niemiecki diabeł, nie wiedział, z kim ma do czynienia.

Przy bernardyńskiej furcie mieściła się izdebka, w której zamieszkali zakapturzeni diabli. Zakonnicy chcieli im dać godziwsze mieszkanie w klasztorze, lecz Orkiusz i Czerniec wymówili się skromnością, nie chcąc łykać dymów z kadzielnicy i słuchać słów modlitwy, które niepokoją czarcie serca. Woleli więc barłóg niż wygody.

Wprawdzie ranił ich uszy dźwięk dzwonów z wieży, ale musieli znieść tę przykrość, byleby tylko doprowadzić do zamierzonego celu.

Od kościoła wykręcali się, jak mogli, a przemawiali na ulicach i placach publicznych, najchętniej w sąsiedztwie gospód i zamtuzów, albowiem tam, ich zdaniem, zwykli byli krążyć najwięksi grzesznicy.

Mefisto zwiedziawszy się, gdzie mieszkają kaznodzieje, postanowił ich nawiedzić nocą i wypłoszyć z miasta. Ustroił się staranniej niż zwykle, wyostrzył szpadę jak brzytwę i przypomniawszy sobie wszystkie diabelskie arkana, zapukał delikatnie w okno izdebki.

— Kto tam? — huknął zaspany Orkiusz.

— To ja, zblakana niewiasta, którą pali sumienie. Przychodzę po radę i pociechę... — wyszeptał Mefisto, udając pieśzcotliwy głos niewieści.

— Idź spać do licha — zawołał niezadowolony diabeł, przewracając się na drugi bok.

— Sypiać nie mogę, żyć nie mogę, żar mnie pali! Wyjdź, święty mężu z sypialni lub przyjmij mnie do siebie, albowiem ląknę twego pocieszenia — szepnął Mefisto, starając się, aby każde jego słowo brzmiało jak najwdzięczniej.

Orkiusz miał dobre serce, więc pomyślał: „Dam babie emetyk i wygonię do domu, niech nie wałęsa się nocą i nie przeszkadza spać ludziom, bo za dnia nie będą mieli siły do grzeszenia“.

Zwlókl się więc z tapczana, zarzucił na plecy suknię i wyszedł z izdebki.

Noc była tak ciemna, że diabelskie nawet oczy nie mogły przebić mroku.

Ledwie Orkiusz postąpił dwa kroki, zza drzewa wyskoczył Mefisto i zamknął mu powrót do izby, grożąc ostrzem szpady.

— *Halt*, okpiświecie! — krzyknął diabeł niemiecki, sypiąc skry z oczu tak strasznie, że z przerażenia zmarłby każdy człowiek.

Lecz Orkiusz zrozumiał od razu, z kim sprawa, rzekł więc łagodnie:

— Pięknież to wkradać się w cudze komory i zagarniać, co innym przeznaczone? Szlachetnie to okradać własnych braci i knuć haniebne spiski?

— *Nicht verstanden* — odpowiedział Mefisto, zdziwiony mową fałszywego mnicha.

— Nie rozumiesz po polsku, psi synu? — zgniewał się Orkiusz i począł bełkotać tatarskim językiem, tą bowiem mową porozumiewają się diabły w piekle.

Co mówił czart do czarta, dokładnie nie zapisano, dość że Mefisto wykrzyknął:

— Diabeł czy nie diabeł, wszystko jedno, nie ustąpię jednak z tego miasta, bo tak mi się podoba i basta!

— Ustąpisz, panie bracie — cedził powoli Orkiusz — bo inaczej pozbędziesz się kudłów na łbie, zębów w paszczy, skóry na grzbiecie i coś jeszcze gorszego może ci się przytrafić.

— Spróbuj! — ryknął Mefisto ocierając się o ramię Orkiusza z taką siłą, iż fałszywy mnich omal nie runął na ziemię.

— Panie bracie — charkotał obrażony diabeł, tłumiąc w sobie wściekłość — nie potrącaj mnie i nie znieważaj, bo jak machnę na odlew, przyśni ci się...

Nie domówił tych słów, gdy Mefisto świsnął klingą i omal nie przedziurawił na wylot kamrata.

Orkiusz odskoczył w tył i porwał lewą ręką zdrajcę za kark, prawą mlóćąc, gdzie popadło.

A Niemczura w krzyk:

— Ratunku! Na pomoc!

Zbudzony tym hałasem Czerniec, słysząc, co się dzieje,



wyskoczył z izby, wyrwał kół z płota i zamierzył się na zdrajcę.

Orkiusz jednak zawołał:

— Nie trzeba, sam dam radę — i walił pięścią w oczajduszę jak w bęben.

Mefisto darł się wniebogłosy, przyzywając na pomoc wszystkich swych rodaków, ale było trochę za daleko, więc nie usłyszeli jego wołania.

Natomiast lament diabli zwabił Wielgusza, Mizdronia, Fugasa i Hejdasza, od wschodu pędził Rokita z cepem w rękę, Rogaliński rwał na karoszu, aż dudniało, a Ossoria i Osmółka wiedli za sobą kupy diabelskie, zebrane naprędce po karczmach, młynach i rozstajach.

I nie wiadomo, co by się stało z Mefistem, bo czarty były bardzo rozzarte i dyszały zemstą. Werner jednak widząc, że Orkiusz wyspał już zdrajcy z tysiąc kijów, prosił:

— Dosyć już, dosyć ma za swoje, choć lajdak jest, ale daruj mu resztę!

Czart jednak nie prędeż puścił zdrajcę, aż mu Mefisto zaprzysiągł na wszystkie znaki piekielne, iż opuści Polskę natychmiast i nigdy już do niej nie powróci. Sam Werner odebrał przysięgę i powtórzył ją wszystkim diabłom, które stały kołem i gotowały się do walki.

Żaden człowiek nie byłby się dowiedział o tym zdarzeniu, gdyby brat Anzelm z bernardyńskiego klasztoru nie widział na własne oczy, jak diabeł osmagał diabła.

Brat Anzelm znał mowę niemiecką i tatarską, więc chociaż go strach mroczył, podsłuchał, co między sobą czarty szwargocą, i pobiegł zawiadomić przeora o dziwnym zdarzeniu.

Nie było więc co czekać. Diabły nierade z zakończenia sprawy rozlazły się po ziemi, aby swą złość, zapaloną przez niemieckiego czarta, wyrzucić na ludziach. Obity Mefisto

mocno kulejąc, skoczył na ulicę i jak mógł najspieszniej, zmykał ku Staremu Miastu, nurzając się w ciemnych zaułkach.

W jednym z domów paliło się jeszcze światło i rzucało mdle promienie na ulicę. Czart spojrzął po sobie i cofnął się natychmiast w najciemniejszy kąt, aby go nie dostrzegło jakie znajome oko. Był bowiem obdarty jak lachmaniarz. W kubraku dziury, brak jednej nogawicy, piękne pióro na berecie złamane na dwoje, a z jedwabnej delii pozostała tylna część, przednią bowiem urwali mu kmiotrowie.

Niepodobieństwem było w takim stroju pokazywać się ludziom i przyjaciółom. Na zawsze bowiem straciłby dobra opinię.

Siadł tedy w kącie i czekał, a kiedy błysnął pierwszy brzask, zabrał się do roboty. Tu okroił, tam dodał, co trzeba było załatał i wyprostował, i nim słońce weszło, był gotów z robotą.

Sam się zdziwił, że poszło mu tak sprawnie, choć ubranie było nie do rzeczy: z tyłu długie, z przodu krótkie, razem wielkie błazeństwo, ale cóż miał robić, skoro nie dostawało materiału?

A gdy tak wysztafirowany zmierzał ku bramie, aby wyjść z Warszawy, jako przyrzekł, spotkał wesolą kompanię wracającą z nocnej hulatyki. Sami dobrzy znajomi!

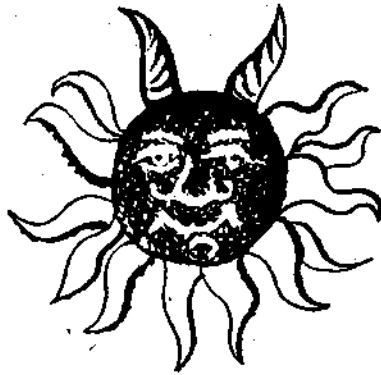
— *Guten Tag, buon giorno* — krzyczeli rozbawieni biboże, dziwiąc się, że cudzoziemiec wygląda tak kuso.

— Nie wiecie? Po raz pierwszy widzicie? — tłumaczył Mefisto. — Teraz taka moda. Żaden piękniś nie włoży na siebie innego ubrania. Po prostu nie uchodzi!

Czart mówił z taką bezczelną pewnością siebie, że mu uwierzono i uznano modę za piękną i praktyczną. Naza jutrz wprowadzono fraki w mieście.

Mefisto już tego nie oglądał, bo chociaż był poturbowany, zdązał, jak mógł najspieszniej, do swego kraju, obawiając się, że w razie zwłoki może jeszcze po raz drugi wpaść w ręce polskich diabłów.

Ale trzeba przyznać, iż wcale tego nie pragnął. Skoro się znalazł za granicą Polski, westchnął z ulgą i tysięcznemu kamratowi odradzał, żeby się nie pchał nad Wisłę, bo kraj tam nieprzyjemny, a polskie diabły zawistne i zgodnie kupą następują.



ZAŁOSNY ŻYWOT DIABŁA HEJDASZA

Nie mogły sobie diabły poradzić z Hejdaszem. Głupi był i tyle.

Nosił wprawdzie rogi na głowie, ale nikt nigdy nie słyszał, aby użył ich do diabelskiej roboty. Nie przebił nimi żadnego człowieka, nie kaleczył bydła, nie groził świętym duszyczkom, lecz stroił łeb w kwiaty polne i liście, bo mu się zdawało, iż w tej ozdobie bardzo mu do twarzy.

I z ogona nie miał żadnej pociechy. Przeciwnie, puszysty zad nabawiał go niemałego kłopotu.

Siadał nieraz na miedzy i rozczesywał na nim kudły, zamiast wydrapywać pazurami skibę ziemi i poróżniać sąsiadów. I głupio się pysznił swym ogonem, bo zamiast ukryć go w hajdawerach, wymachiwał nim rozkosznie, dając poznać od razu, kim jest i co zamierza.

W ten sposób nie mógł otumanić żadnego człowieka.

Porządne diabły siedzą w piekle i służą jak psy Lucyferowi, Hejdasz zaś musiał się wałęsać po ziemi, gdyż pogniewał na siebie zwierzchność piekielną.

Postawili go pewnego razu, uzbrojonego w ogromną halabardę, u wrót piekielnych i kazali zatrzymywać czarne, plugawe dusze, odtrącone przez sprawiedliwość boską.

Niemało wynikło kłopotu, bo głupi diabeł zaciągnął do

piekła świątobliwą jakąś niewiastę, myśląc, iż jest potępiona. A gdy babina zmiarkowała zdradę, otworzyła gębę i takiego narobiła hałasu, wymyślając wszystkim diabłom, że aż Lucyfer wyskoczył z barlogu i kazał wypuścić natychmiast niewiastę, a wartownika złuzować u bramy. Chociaż bowiem jest księciem ciemności, wie, co sprawiedliwość, i nikogo nie tknie bezprawnie.

Zagnano więc Hejdasza do ogromnego kotła, aby mieszał olów, którym poją w piekle obaźrtuchów i opilców za to, iż będąc na ziemi, gwałcili przykazanie wstrzemięźliwości.

Stoi Hejdasz, i miesza, aż mu pot kapie z czoła i ręce mdleją od ciężkiej pracy. Wkoło, skuci łańcuchami, spoglądają nań potępieńcy i skóra im cierpnie ze strachu, gdy w kotle wre i bulgoce. A jeden z wąsali widząc, iż czart niemrawy, przemówił pokornie:

— Panie diable, do krwawego potu będziesz obracał warzachwią i nie ugotujesz tej przepalanki. Posłuchaj mej rady! Przy czerskim traktcie stoi karczma, a w niej mieszka Żyd, Moszko. Biegnij do niego i za sto dukatów kup gorzały, a oszczędzisz sobie krwawego trudu. Wszyscy twoi poprzednicy tak zawsze czynili, nie bądź więc głupi i nie daj się na darmo zapędzać do pracy!

— O, głupi nie jestem — zawołał diabeł — lecz abyś wiedział, że ze mną nie ma żartów, potrójną miarę wleję ci w gardło. Znaj mores, potępieńcze!

A że czarty nie mają kłopotu z pieniędzmi, więc Hejdasz splunął, gwizdnął, odliczył złoto i z kopyta ruszył na ziemię.

Zdziwił się niemało Moszko, gdy diabeł wysypał z trzośa dukaty i zażądał tyle gorzały, że można nią było upić nie tylko wszystkich w Czersku, ale nawet w Krakowie.



Lecz od czegoż żydowska głowa? Diabeł płaci, szynkarz szynkuje, więc poczęto wytaczać z piwnic beki pełne przepalanki.

Podnosi Hejdasz — ciężkie. Ledwie trzy włożył na bary, a już się ugiął do ziemi. Moszko zaś wciąż nowe wytacza baryły, a czart rachuje. Jest ich sto, nie uradzi, chyba najmniej podwody.

A karczmarz zgaduje myśli diabła i pyta pokornie:

— Dokąd odwieźć, jaśnie panie?...

— Do piekła! — ryknie diabeł, ciesząc się, iż przez rok najmniej nie będzie mieszał warząchwią i zażyje przyjemnych wywczasów, wylegując się przed kotłem.

— Tak daleko nikt nie zechce pojechać ani wynająć swego bydlaka — rzekł karczmarz.

Diabeł zaś w krzyk:

— Brać pieniądze to chcesz, dopisywać pijanicom półkwatunki potrafisz, procenty doliczać to umiesz, a dostarczyć podwód to się lenisz?

Machał przy tym tak groźnie ogonem i wykręcał paszczką, iż Moszko drżał z przerażenia i dygocąc łydami wyrzekł:

— Gdy będą pieniądze, znajdą się i furmanki.

Czart cisnął kiesę dukatów, a Żyd pobiegł do miasteczka. Biegając zaś rozważał:

— Koni mu nie dam, bo któż mnie zawiezie do miasta; wołów także nie sprowadzę diabłu, gdyż nie skosztowałbym potem ani kawałka mięsa, ale wiem, co zrobić. Wieprzów mu nazganiam, niech je zabierze z sobą do piekła, bo tak czy owak nie mam z nich pożytku.

Nim wieczór nadszedł, spędzono przed karczmę tysiąc świń. Hejdasz zaprzągl je do wozów i trzaskając głośnie biczem, powiózł gorzałkę do piekła.

Czart dumny, iż tak gładko załatwił się z kupnem, po-
ustawiał beczki pod ścianami i przygotował wiadro, któ-
rym by wlewał w gardło potępieńców zakupioną w karcz-
mie przepalankę.

Stary zaś Wąsal, pijanica, widząc, jak diabeł się zwija,
odezwał się z głupia frant:

— Co raz weszło do piekła, już wyjść z niego nie może,
więc załatw się wprzód ze świniami, bo tak kwiczą i furczą,
że zbudzą Lucyfera i narobią nam wielkiej biedy.

— Mówisz prawdę, potępieńcze, a za to, żeś dobrze po-
radził, rozkazuję ci powrzucać bydlęta do ognia piekiel-
nego i żywcem je spalić.

— Tak być nie może — zawołał Wąsal. — Plugawe te
stworzenia zasługują na większą karę, bo są przyczyną
obżarstwa na świecie. Trzeba z nich wytoczyć krew, opa-
lić w ogniu, posypać solą i pieprzem, pociąć na kawalki
i uwędzić.

— Mądra z ciebie głowa — rzekł diabeł. — Wstawię
się za tobą do Lucyfera, abyś został famulusem u jednego
z biesów. Rób ze świniami, jak powiedziałeś, a ja ci po-
mogę, bo szczerze wyznam, iż nie spodobały mi się od razu
te stworzenia — odpowiedział Hejdasz, ujawszy się pod
boki. I aby praca szła raźniej, rozkuł Wąsala z łańcuchów,
a ten, nie namyślając się wiele, uwolnił z więzów i innych
potępieńców.

Zaczęła się więc robota. Kluto wieprze szpikulcami, pa-
rzono, krajano i przypiekano na ogniu. Jedni wędzili schab-
by, drudzy stapiali słoninę, a sami Hejdasz nadziewał kiel-
basy, albowiem najbardziej podobała mu się ta czynność.

A gdy już uporali się potępieńcy ze świniami, sami, bez
czarciej zachęty zabrali się do beczek.

Hejdasz nie posiadał się z radości, iż skazańcy sami wle-
wają w swe gardła przepalankę, ubywał mu bowiem trud

zmuszania ich do picia. Biegał tylko od opilca do żarłoka i wołał klaszcząc w dłonie:

— Pij, pij, boś na tę karę dobrze zasłużył, grzesząc gardłem i brzuchem na ziemi! Masz, masz, łakomcze — mówiąc to czerpał wiadrem gorzalkę z baryl i rozlewał w garnce i półgarncówki. Baczył zaś dobrze, aby każdy otrzymał sprawiedliwie i według zasługi.

A potępieńcy pili, zagryzali kielbasą i wędzonką, coraz bardziej się radując, wznosili okrzyki i przypijali do czarta:

— Spróbuj, panie diable, skosztuj okruszynkę, smakując w takich specjalach dopiero zrozumiesz, dlaczego dostaliśmy się do piekieł. Sam archanioł nie oparłby się takiej pokusie, a cóż dopiero my, słabi ludzie?

Nie mógł się Hejdasz wymówić, pociągnął z półkwatka i zakąsił schabem. Strasznie mu smakowało. Więc Wąsal napenił garncówkę, a gdy czart wychylił ją duszkiem, opanowała go niezwykła radość.

Stracił złość do potępieńców i zapomniawszy o swej randze, ścisnął obzartuchów i opilców, a Wąsalowi okazał największą serdeczność, gdyż ujął go w ramiona, ucałował w pysk z dubeltówki i nazwał najdroższym kompanem i bratem.

Gdy zaś zaspokoił potrzebę serca, podskoczył do grubej rajfurki, która pokutowała w piekle za różne szelmstwa, i porwawszy babę wpół, zakręcił obertasa, aż wiatr dmuchnął w czeluści i zgasił ogień pod kotłem. A za diabłem inni skoczyli w te pędy, przygadując Marcinowi organiście, aby rażno ciał smykem i poganiał klarneckie Szymka, który nie wiadomo za jakie winy przebywał w piekle, bo był człowiek cichy i pokorny, a na przepalankę nie bardzo łakomy.

I kto wie, jak długo trwałaby uciecha, bo kielbas było jeszcze w bród i nie wychlano ani dziesiątej części okowity, gdyby nie Lucyfer, który wyszedł na przechadzkę po piekło. Skoro ujrzał, co się dzieje, pozieleniał od złości i nie tracąc wielu słów na przepieranie się z pijanicami, porwał Hejdasza za kark i śmignął nogą, aż zawarczało.

Czart zawył z bólu i ani się opamiętał, gdy zleciał na ziemię. Szczęście, że wpadł w bagna rozciągające się nad Wisłą, gdyż inaczej nie miałby ani jednego całego gnata.

Leżał tydzień, rozcierając ból niżej łopatk, a gdy nieco złagodniał, wybrał się na węder po kraju.

Żal jednak zrobiło się Lucyferowi, że tak Nielitośnie obszedł się ze służalcem. Wiadomo, dał się wywieść w pole przez marnych oczajduszów, bo nie ma dobrego rozumu, który mu nadwerężył jeden z cherubinów, tnąc diabła w łeb mieczem ognistym w pamiętnej wojnie z Panem Bogiem. Kto mu jednak winien? Dlaczego w porę lba nie usunął?

Na ziemi jednak nie da sobie diabeł rady, gdyż spadł nad Wisłę między chytrych ludzi. Jeśliby dostał się do innego kraju, mógłby wyjść na dygnitarza lub nawet odbierać cześć równą świętym, lecz nad Wisłą wykpią głupca i zamorzą.

Już w pierwszych dniach omal nie umarł Hejdasz z głodu i gdyby był nie ukradł proboszczowi ślepej kury i nie upiekł jej w opuszczonej kuźni, już by było po nim.

Wysłał więc Lucyfer sztafetę do wojewody Boruty, nakazując mu, aby przyjął Hejdasza do świty, bo chociaż głupi był ten diabeł w piekło, pożyteczny może być na ziemi i przyda się choćby do wymiatania śmieci.

Skoro więc Hejdasz stawiał się przed wojewodą w Łęczycy, otrzymał rozkaz, aby biegł czym spieszniej w pole i zawałił śniegiem drogi i ścieże, którymi pobożni ludzie

spieszą rano na roraty. Było to już bowiem po świętej Barbarze i gęsty śnieg pokrył ziemię.

Pobiegł Hejdasz, gdzie mu kazano, i dmuchał, i parskął, aż zdało się wszystkim, iż dmie i świszcze wichura, a to diabeł tak sapał i fukał, zmiatając śnieg na drogi. Zadowolony ze swego dzieła ukrył się za kopcem, aby ujrzeć, co z tego wyniknie.

Jeszcze dobrze nie rozwidniało, gdy wyszły kobiety z chałup, a widząc, że na polach nie ma ani okruszyny śniegu, skrzyknęły chłopów oraz dzieci i cała gromada ruszyła na przelaj do kościoła, chwając sobie krótką i wygodną drogę. Skoro powiedziano o tym wojewodzie, bardzo się gniewał na Hejdasza i nie wysyłał go już na takie psoty.

Nadchodziła Wielkanoc. Diabelska służba rozbiegła się po świecie na robotę. W tym bowiem czasie mają czarty najwięcej zajęcia.

Muszą odwozić ludzi od wielkanocnej spowiedzi, kuszą ich, aby łamali posty, namawiają na muzykę i tańcówki, pomagają przy warzeniu mocnych napojów, bo wstyd byłby dla piekła, gdyby święcone odbyło się bez obrazy boskiej i bez łbów zawieruszenia.

Przywołał tedy wojewoda Hejdasza i tak mu powiada:

— Widzisz tę wieżę?

— Widzę.

— Wleziesz na nią i rozbijesz na Wielkanoc dzwony, aby nie zwolywały ludzi na rezurekcję. Pamiętaj mądrze wykonać rozkaz, bo inaczej będą baty! — Wymawiając te słowa, klasnął Boruta harapem przed samym nosem Hejdasza, a chudzinę aż przeszły ciarki na myśl, co to będzie, gdy pokpi sprawę.

Obejrzał więc kilka razy wieżę dookoła, oglądał blanki i gzymsy, po których najpewniej wleźć można do dzwo-



nów, a gdy nadeszła Wielka Sobota, wygramolił się na górę, ukrył pod dachem i wy-czekał terminu, aby naj-dokładniej spełnić rozkazanie wojewody. Za ledwie zegar na wieży wskazał północ, jak nie pocznie Hejdasz łomotać w dzwony pięściami, łbem i kopytami, jak nie zacznie chy-botać sercem i targać sznura-mi, takie rozległo się dzwo-

nienie, iż najospalsi przypomnieli sobie o Zmartwychwsta-niu i pospieszyli na rezurekcję.

Skoro to ujrzał Boruta, omal go krew nie zalała z wście-kości. Chwycił harap i chciał biec do dzwonnicy, aby oćwiczyć głupca. Ledwie go pohamowali dworzanie, tłu-macząc, iż nie wypada tak wielkiemu dostojnikowi iść pod kościół w chwili, gdy odprawia się tam nabożeństwo. Po-słali natomiast czartowskich hajduków, aby sprowadzili Hejdasza przed oblicze wojewody.

Lecz diabeł nie był tak głupi, jakby się zdawało. Gdy zauważył, na co się zanosi, zeskoczył z wieży i pognął na przelaj przez pola i lasy, dokąd mu tchu starczyło. I nie zwolnił biegu, aż dzień nastał.

Był bardzo zmęczony i utyłany w wodzie i błocie, a skoro spojrzął na swój ogon, płakać mu się chciało. Pu-szysta, bujna kita wyglądała jak obszarpane pomiotło, a gdzieniegdzie znać było na niej ślady psich zębów. Nogi bolały go okrutnie, a szczęki kłapały z przestraczu.

Hejdasz rozejrzał się, gdzie by spocząć po takiej go-nitwie, i ujrzał na skraju wsi samotną chalupę. Zajrzał przez okno i nie spostrzegł wewnątrz nikogo. Bez namysłu

więc wlaź kominem do izby, wsunął się do łóżka pod pierzynę i nakrył z głową.

Obudziło go dopiero późną nocą mocne uderzenie w bok. Zerwał się na równe nogi, myśląc, iż go już chwytają pacholkiwie Boruty, lecz gdy ujrzał przy łożu wcale nieszpętą jeszcze babinę, patrzącą nań ze zdziwieniem, padł przed nią na kolana i począł błagać:

— Zlituj się nade mną, kobieto, nie wydawaj w ręce katów, służyć ci będę wiernie i dopilnuję dobytku. Daj odpocząć choć do rana, nie wypędzaj z chałupy!

W babinie ruszyło się serce i pomyślała: „Przed pięciu laty pochowałam męża, a drugi mi się nie trafia. Smutno żyć samotnej kobiecie. Spróbuję, może się ten nada. Zawsze lepszy diabeł niż nikt“.

Więc Hejdasz został u wdowy i dobrze mu się działo. Do roboty nie bardzo się kwapił, bo był len z natury, ale trzymał się domu i do karczmy nie zaglądał z obawy, że spotkać tam może dawnych kamratów, którzy go poznają i oddadzą w ręce Lucyfera lub Boruty.

Mylił się jednak. Lucyfer, rad, że pozbył się diabła, który był zakałą piekła, nigdy się o niego nie dopytywał i to samo czynił Boruta, zadowolony, iż znikł mu z oczu głupi pacholek i gdzie indziej przystał na służbę.

Hejdasz jednak miał się na baczności, kazał wdowie wyrysować kredą na drzwiach chałupy wielki krzyż widny z dala, aby diabły nie miały tam przystępu, a gdy zauważył w pobliżu podejrzany jakiś szmer, pędził co tchu do izby i wlaź pod pierzynę, wiedząc, iż stamtąd nie wyciągnie go żadna moc piekielna, bo baba na to nie pozwoli.

OPOWIEŚĆ O NIEPRZYJEMNYM DIABLE ROKICIE

Długi czas Boruta wystarczał na całą Polskę. Młody był, zwinny, jeszcze się nie zapijał i niewiele miał kolidacji pośród szlachty.

Ale diabeł chociaż nie umiera, jednak się starzeje, i co kiedyś mógł zdziałać za młodu, później już nie może. Ot, na przykład:

Wojewodzina Ściborowa miała tak liczny dwór, iż nawet cesarzowa niemiecka nie mogła się podobnym pochwalić. Dwieście pań występowało w jej orszaku, a każda tak dobranej urody i wdzięku, iż kto je raz widział, nie mógł nigdy zapomnieć.

Panny nie były zbyt twarde, lecz wojewodzina trzymała je żelazną ręką, albowiem zagarniała sobie wszystkich mężczyzn, mając fraucymer niby przynętę na szczupaki. Połknął niejeden rybkę, z gardła mu ją wydarła i lakomca zabierała dla siebie.

Boruta wpadł w oko Ściborowej, pozwała go więc na biesiadę i wcale nie myślała wypuścić. Gościła tydzień, miesiąc, kwartał, aż dziwiły się panny, że patronka ich, jakoby druga nimfa Kalipso, więzi męża na swym dworze.

Gdyby innemu diabłu przytrafiła się taka gratka, zgubiłby dwieście dusz od razu. Boruta zaś wtrącił w piekło

zaledwie dwanaście duszyczek, i to już tych najuporczywszych, które dopominały się tego koniecznie.

W piekle patrzono z wielkim politowaniem na wojewodę łęczyckiego. Widziano, jak się pocił, ociągał i wymawiał to humorami, które mu stąpają do głowy, to dżganiem w łopatkach i zimnicą.

Zauważono zaś, że Boruta nie pociągnął za sobą ani jednej dziewczki pośledniejszej kondycji, choć były bardziej rumiane i urodziwsze od wielu szlachcianek.

I zaraz czart Axabel, który jest rachmistrzem diabelskim i prowadzi rejestr dusz potępionych, zabrał się do sprawdzania ksiąg i zameldował Lucyferowi:

— W ogóle niewiele Polaków smaży się w smole piekielnej, a jeśli jest ich trocha, to przeważnie dobrze urodzeni, pospółstwa zaś i chłopstwa prawie nie widać.

Spochmurniał więc wielki Lucyfer, a wiadomo, co się dzieje, gdy diabeł nad diabły zmarszczy oblicze. Piekło całe staje w ogniu, a krzyk dusz zatraconych napelnia przestwory. Wtedy ludzie słyszą wichry i tumaniec, a wtajemniczeni w mowę niebios i ziemi pobożnie znaczą piersi krzyżem świętym.

Gdyby tak zblaźnił się wojewoda niemiecki, francuski lub żydowski, złożyłby go Lucyfer z urzędu i kazał mu za karę drwa rąbać lub zamiatać piekło.

Dla Boruty jednak ma książę piekieł osobliwsze względy. Raz, że są spokrewnieni przez Kossobudzkich, gdyż ciotka babki Boruty wyszła za mąż za syna Lucyferowego, a po wtóre Boruta położył wielkie zasługi dla piekieł, o których wiedzą wszyscy diabli.

Czartowska rada postanowiła przeto nie odwoływać z ziemi wojewody łęczyckiego, lecz przeznaczyła mu pomocnika, który by go wyręczał w sprawach trudnych dla starszego wieku.

Kogo jednak wysłać do Polski?

Najpierw ksiązę ciemności ofiarował ten wysoki urząd członkom Rady Piekielnej. Wszyscy jednak po kolei wymówili się od tego zaszczytu. Robon, westchnąwszy ciężko, usprawiedliwiał się ciężkością w nogach; Mojsur nie mógł się rozstać z jadem piekielnym, bo każde inne mu nie służyło; Bobon nie znosił zapachu ziemi, a Kurdela zdrzemnął się nieco podczas obrad, więc Lucyfer nie pytał go nawet o zdanie.

Ponieważ Polski nie można było zostawić w takim opuszczeniu, więc doradcy księcia ciemności postanowili czym prędzej wyszukać Borucie pomocnika.

Długie by to było na pewno szukanie, gdyby nie przyszedł z pomocą faktor Berek, który, choć niedawno bawił w piekle, wiedział już, co wart każdy diabeł. Owóż Berek; zauważywszy zmartwienie Robona, przemówił w te słowa:

— Po co ten kłopot, kiedy można mu zaraz zaradzić. Znam akuratnie takiego czarta, który jest w sam raz do tego interesu.

— Powiedz, powiedz drogi Berku, gdzie on jest i jak się nazywa? — zawołał ucieszony Robon.

— Ciężką miałem sprawę, zanim go wynalazłem — mówił faktor.

— Sto lat będziesz wolny od smażenia w smole.

— Sto lat za taki brylant?

— Dwieście — zawołał Robon.

— Ani za tysiąc nie mogę — odrzekł Berek, zabierając się do odejścia.

— Niech będzie tysiąc — obiecywał radca piekielny.

— Na piśmie i z podpisem Licyfera — dopominał się faktor — inaczej tę bagatelkę załatwi wielebny pan Bobon lub Mojsur, a może nawet Kurdela. Pochwali ich za ksiązę, pochwali...

Robon zgodził się na warunki, a Berek rzekł:

— Rokita...

— Co za Rokita?

— Wielebny pan ławnik go nie zna? Ten cham, który wozi wodę na umywanie statków piekielnych. Bardzo nieprzyjemny diabeł, ale dla Polski akurat.

Robon kazał przywołać Rokitę, a czart zjawił się na rozkaz. Wysoki, zwałisty, w rękę trzymał bat, a odziewał się w kozuch i długie buty, chociaż w piekle aż syczało z gorąca. Szedł ciężkim krokiem i pogwizdywał sprośne piosenki, których nauczył się na ziemi, jeżdżąc tam co dzień po wodę. Widno, iż trzymał kompanię z ludźmi, bo zepsuł sobie mowę diabelską i klął, że aż skóra cierpła. Na Berka zaś spoglądał z nietajoną złością i gdyby nie respekt dla ławnika, pogadałby z nim po swojemu.



Oczekiwał tego faktor, bo trzymał się w przyzwoitej odległości od Rokity.

Robon, obejrzawszy woziwodę od czubka głowy aż do stóp, zapytał:

— Mocny jesteś?

— Nie bardzo.

— Jak to nie bardzo? — wmieszał się Berek. — Onegdaj przewrócił jednym palcem murowany dom rabina w Rozdole.

— Dobrze, a kobiety lubisz? — pytał ławnik.

Rokicie aż zsiniała gęba z radości i wybuchnął śmiechem.

— On tak lubi — dogadywał faktor, iż nie ma nawet czasu jeździć po wodę do Jordanu, lecz czerpie ją, skąd popadnie, bo w drodze zatrzymuje się zawsze u jakiejś kobiety.

— Łziesz! — krzyknął diabeł.

— Albo łzę, albo nie łzę — odpowiedział Berek, odsuwając się dalej od rozsierzonego Rokity, który zamierzał się już batem, aby prasnąć zdrajcę.

Robon nie zwrócił uwagi na ten dyskurs, albowiem pisał już list do Boruty i za wolą Lucyfera polecał mu dzielnego pomocnika.

Aż za Mławę wysłał wojewoda kolasę, którą miał przybyć Rokita do Łęczycy. Kusy oporządził, jak się należy, konie i uprząż, sam włożył paradny kubrak i nową czapę, aby się godnie pokazać wielkiemu urzędnikowi.

Punktualnie o dwunastej w nocy wylazł Rokita z dziury wedle krzywego mostu i cmoknął z zadowoleniem, widząc tak świetny pojazd i wystrojonego stangreta. Początkowo pomyślał, iż sam wojewoda powozi końmi, więc zdjął nisko czapkę i nie śmiał przemówić pierwszy. Kusy zaś, trzymając czapę przy ziemi, trwał w milczeniu, aby nie uchybić służbie i nie odzywać się nie pytany. Tak dwa diabły świadczyły sobie grzeczności. Po dłuższej dopiero chwili odezwał się Rokita:

— Dobrze pasieta konie, bo nie chcą ustać na miejscu — i klapnąwszy Kusego po ramieniu, począł się gramolić na kozioł.

— Jaśnie panie, wygodniej będzie na tylnym siedzeniu — zagadnął woźnica.

— Wygodniej, mówisz — odrzekł Rokita. — A cóż ty sobie myślisz, świńskie ucho, że na zad twój będę patrzył i kudły twoje liczył? Sam siadaj w tyle i daj lejce! Jak żyję, nie widziałem takich koni, chcę je wypróbować.

Kusy zdziwił się mowie urzędnika, ale wiedząc, że panowie mają kaprysy, wlaźł na tylne siedzenie, rozłożył się wygodnie na poduszkach i wdział wojewodzińską szubę.

Rokita zaś mówił:

— Dyszlowy psa wart, widzi mi się narowisty, a za tę parę na przodku nie oddałbym mej gniadej kobyły. Co to za szkap! Tylko jej szepnąć było do ucha, dokąd chcesz, a spać mogłeś wygodnie; gdyż nigdy nie chybiła drogi. Nie tak jak twoje przodkowe, których nie wolno spuszczać z oka, bo rozniosą taradajkę. Ho, ho, znam się, brachu, na szkapach i nie dam się zagadać! — To mówiąc klasnął Rokita batem, a konie ruszyły jak opętane. Strach było patrzeć, gdy zerwały się z miejsca i pognały galopem.

Kusy aż zamknął oczy i owinął się całą szubą wiedząc, iż nic dobrego nie wypadnie z tej jazdy. Nie cieszyło go nawet, iż wszędzie po drodze pozdrawiali ich diabli i ludzie, a niektórzy odzywali się z przekąsem:

— Patrzcie no, patrzcie, jak Kusy się panoszy. Wiadomo. Zausznik pański zawsze dochrapie się znaczenia. Jak zaraz zhardział, łeb wsunął w futro i znajomych nie poznaje.

O uszy Kusego odbijały się te słowa, nie zastanawiał się jednak nad ich znaczeniem, gdyż każdej chwili spodziewał się skrócić kark.

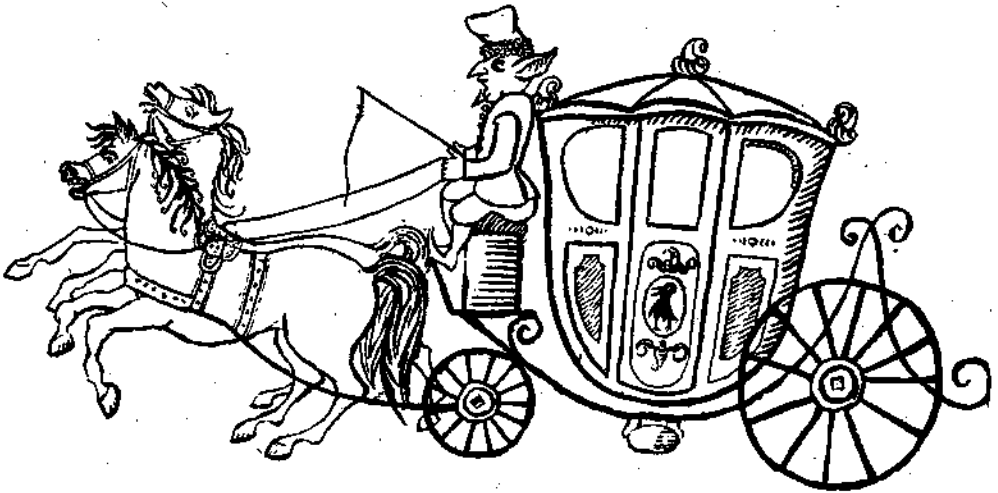
Pędzili już tak godzinę, a konie coraz sroższy brały impet, prześcigając ptaki w powietrzu i wiatry na wygonach. Naraz — k r a c h! — pękło koło, a Kusy wyleciał jak z procy.

Ponieważ przygotowany był na tę przygodę, więc wywinął trzy kozły i padł na miękką ziemię. Gruba szuba ochroniła go od potłuczenia, mógł więc stanąć zaraz na równe nogi i spojrzeć, co się dzieje z kolasą, końmi i Rokitą.

Wspaniałe pojazdy rozszarpywały szalone rumaki, tłukąc nim o wyrwy i kamienie, a nieszczęśliwy woźnica leżał półmartwy w rowie. Krew zalewała mu twarz i ręce, a w palcach trzymał kawał zerwanych lejców i złamany bat. Kusy pożałował gościa, lecz większy żal było mu koni, które pędziły na zatracenie, wprost przed siebie.

Puścił się pędem za nimi. Chociaż był diabłem, nie zdołał jednak dognać rumaków, albowiem nie były to zwyczajne konie, lecz krew miały w sobie piekielną, więc nie sposób było im nadążyć.

Kusy, ubiegłszy milę, zadyszał się potężnie i dał spokój dalszej gonitwie wiedząc, iż jest daremna. Gdy wrócił na miejsce wypadku, Rokita siedział już na szkarpie i kłął, aż w oczach brzydło. Podnieść się jednak nie mógł, więc



o pieszej podróży nie było mowy. Co robić? Siadły więc oba diabły przy drodze i jeden drugiemu przygadywał:

— Smoki macie, nie konie, i wozicie nimi gości, aby ich rozbijać po drodze — rezonował Rokita, trąc pazurami krzyże, które mu sprawiały ból.

— Jaśnie Pan zanadto ciął batem — usprawiedliwiał się Kusy.

— Jak ciąć, to ciąć, a nie baraszkować! — ryczał gość z piekła. — Gdybym cię tak zdzielił po zasmolonej gębie, na pewno byś nie otworzył paszczęki, aby mnie przekonać, że ja zawiniłem, a nie ten stary klekot, który nazywacie kolasą. Umyślnie wybraliście spróchniałe koła, aby mi połamać kości. Nie udało się jednak, całe mam gnaty, choć trochę potłuczone. Ale gdy się wyleczę, zabiorę się do porządków!

— Jaśnie pan wąsko siedział na koźle — tłumaczył Kusy.

— A cóż ty, pępku kosmaty, jesteś mamką moją, abyś mnie uczył, jak mam siadać, małoż to się nasiedziałem w kuczki na dyszlu, wożąc wodę do piekiel? — odpowiadał coraz gniewniej Rokita.

I długo tak byliby się przepierali, gdyby nie ukazał się na drodze szmaciarz. Biedny miał wózek, a biedniejszego konia, więc choć Kusy doradzał, aby zaczekać na jakiegoś dziedzica, zwalić go z bryki i odjechać do Łęczycy, Rokita się uparł, iż nie chce innego pojazdu, gdyż kulawa szkapa bardzo mu się spodobała.

Z biedą wsadził Kusy gościa na kupę łachmanów i popychając wraz ze szmaciarzem wózek, powlókł się społem drogą.

Niezadowolony był Boruta z przybycia nowego urzędnika, który miał z nim podzielić władzę. Siedział więc smętny

przy dzbanie i raz po raz pocierał czuprynę prawą ręką, u której brak było trzech palców.

Odrąbał mu pazury Kalina w pojedynku, gdy jako młody jeszcze diabeł zalecał się do jego żony. Dawne to już czasy. Kamienie mchem porosły, rzeki pozmiały koryta, a Boruta się postarzał i sam już nie może wydolać wszystkim obowiązkom.

Tym razem jednak zawiniła Ściborowa. Gdyby nie ona, poradziłby sobie z dwustu dziewczkami jej fraucymeru, a tak co? — śmiech w piekle i naślany przez Lucyfera pomocnik.

Niechby tę babę wprzód pochłonięła była ziemia, sto czartów miałyby z niej uciechę, a on jeden, biedaczek, jakoż miał tylu diabłów zakasować?

Już wypróżniał Boruta trzecią beczkę węgrzyna, a jeszcze nie zalał robaka, który kąsał okrutnie jego duszę. Naraz wyjrzał przez okno i parsknął śmiechem.

Na dziedziniec wjeżdżał Rokita, a szelma Kusy wykrzykiwał całym gardłem:

*Uważajcie, ludy, jedzie pan bogaty!
Najpierw wozil wodę, potem zbierał szmaty,
Ojej!!*

Diabły hurmem wyległy na podwórze, aby przywitać gościa, który zastępować będzie wojewodę. Drżały im łody ze strachu, lecz gdy ujrzeli wyciągniętą na gnoju postać, otucha wstąpiła w ich serca, a marszałek Pronobis zebrawszy się na śmiałość zawołał:

— Zanieść go do chlewa i tam niech rezyduje!

Rokita, chociaż jeszcze cierpiący, podskoczył na równe nogi.

— Dokąd mam iść?

— Tam, gdzie się waści słusznie należy. W takiej przy-

odzwie i z takimi obyczajami niczego nie zdziałasz w Polsce. Na wstyd nas narażasz, więc łatwo wypłoszyć możesz tych, którzy do nas się garną.

— Do chlewa, nie pójdę, ale pokażę wam, pańskie diabły, co mogę i jak sobie poradzę — rzekł urażony Rokita. — Odchodzę zaraz — i mówiąc te słowa, pokuszył w pole i przepadł wśród ludzkich chałup.

Śmiechem odprowadzały gościa łęczyckie diabły, drwiąc niemilosiernie z jego grubych obyczajów, z mowy nieokrzesanej i gburowatych ruchów.

A Rokita nasunął czapkę na uszy i klnąc obrzydliwie oddalał się od czartowskiego gniazda, przysięgając, iż nigdy nie spojrzy w stronę Łęczycy.

Boruta niby nie chwalił swego marszałka i służby za haniebną postępek z wysłannikiem piekła, ale uśmiechał się pod nosem, klepał po ramieniu i nie rzekł ani słowa, gdy bezecne psiarstwo upiło się tego wieczora do nieprzytomności.

Idzie Rokita i myśli: „Cóżem to, pies, głupiec lub niemrawa, abym sobie nie poradził na świecie i nie zakasował tych gałganów z Łęczycy? Spojrzałem tylko przez okno i już wiem, jakie tam kapcaństwo. Blichtr dla zamydlenia oczu i wielkie gęby.

„Ale co prawda, to prawda. Tyle wieków wozilem wodę, iż nie miałem czasu przypatrzeć się elegantom i poznać ich zwyczajów. I kapota przez ten czas trochę wypłowiała, a czapa barania wytarta już na poły. Tylko odmienię strój, a na pewno rozkocham w sobie jakąś hrabinę, bom chłop na schwał i mogę się podobać. Mówiła mi to niejedna...“

Tak rozumując, dotarł do Zamościa. Z daleka już okrutnie spodobało się Rokicie to miasto, tym bardziej, że słyszał po drodze, iż mieszka w nim prześliczna hrabianka,

z którą rodzice mają niemało kłopotu, gdyż jest bardzo wybierna i odpala każdego konkurenta.

— Na pewno mnie nie odrzuci, tylko się ustroję należycie — mruknął diabeł i przyspieszył kroku.

Do miasta jednak nie chciał wchodzić byle jak ubrany, przeto już na przedmieściu oglądać się począł za krawcem. Co spotkał przechodnia, zapytywał:

— Jegomość, powiedz mi, gdzie tu mieszka hrabski krawiec?

Jedni radzili mu iść do zamku, drudzy wedle kościoła, aż wreszcie trafił się przechodzień, który rzekł:

— Na co ma być hrabski, kiedy może być jeszcze lepszy...

— Prowadź — skinął diabeł, a rudy Aron, podskakując na jednej nodze, zaprowadził go do swego szwagra, Mordki.

— Placę gotówką, szyj ubranie!

Skoro przyszło do wyboru, Rokita zdecydował się na frak, gdyż słyszał, iż jest to ubiór najmodniejszy, a lepszym chciał być od diabłów łączyckich, którzy noszą kontusze.

Do rana strój był już gotowy; Rokita wciągnął go na grzbiet i zapłacił, bo diabły różnią się tym od ludzi, iż nigdy nie robią długów i są rzetelne. Jeszcze trochę kłopotu było z pantoflami i kapeluszem, lecz Aron dostarczył wszystkiego.

— Teraz jestem hrabią! — wykrzyknął czart, wepchnął pazury w kieszenie od spodni i splunąwszy przez zęby na dziesięć sążni, wkroczył do Zamościa, aby odszukać hrabiankę.

Wiedział, iż nie należy rozgłaszać swych zamiarów, więc postanowił sam znaleźć pannę, bo osoba tej rangi i piękności nigdy ukryć się nie może.

Tydzień cały bawił w mieście, jadł, pił, spał i zaglądał

od chałupy do chałuby, a gdy go pytano, czym się zajmuje, odpowiadał bez namysłu:

Jestem hrabią!

Dla dodania sobie większego znaczenia patrzył przez ramię na mieszczuchów i z byle kim nie wdawał się w gawędy.

Siódmego dnia stanął diabeł wedle rynku, zadarł nos do góry i spoglądał, kiedy się pojawi hrabianka, miał bowiem przecucie, iż na pewno ją dzisiaj ujrzy i pozyska.

Jakoż niedługo czekał. Z kościoła walił tłum ludzi, a wśród ślicznych panien wypatrzył Rokita najśliczniejszą.

Zauważył nawet, iż uśmiechnęła się na jego widok, więc nie tracąc czasu, uszczypnął ją w podbródek i zawołał:

— Podobasz mi się!

Wymawiając zaś te słowa, pociągnął dziewczynę z całej siły i pocałował ją w usta raz, drugi i trzeci.

Zaledwie to jednak uczynił, poczuł ból we łbie i w krzyżach, a ze wszystkich stron posypały się palki, bębniąc po skórze diabła jak po grochowinie.

— Co to jest? Co się dzieje? Hrabia jestem! — krzyczał diabeł, oszołomiony razami.

— Oszust, włóczęga — wołali mieszczanie, a młocka na plecach nie ustawała.

Wtedy jeden z litościwszych widząc, iż franta zakałupią, przemówił do współbraci:

— Jeśli jest hrabią, zna parle franse, a wtedy po rycersku odpowie za zniewagę mieszczkańskiej dziewczyny.

Więc zaraz wysunął się z tłumu bakalarz Mroczek i podając diabłu książkę, odezwał się:

— Czytaj!

Rokita spojrział na karty, a ponieważ nie znalazł się na piśmie, odpowiedział:

— Oczy mi zamroczyło i miesza mi się w głowie, gdy

odsapnę, przeczytam wam z dołu, z góry i na poprzek, bo nie sprawia mi to żadnej różnicy, tak jestem wyćwiczony w literach.

W głębi zaś duszy mamrotał: — Słusznie mawiał Lucifer: „Głupi czart, nie wart rżawet krowiego ogona. I nie piekłu po takim ciemędze“.

— Okuć szelmę w dyby! — wołali mieszczenie — a jeśli nie udowodni swojego hrabiostwa, obwiesić go na rynku!

Założono diabłu łańcuchy na ręce oraz na nogi i zawleczono go do lochu.

Rokita jednak nie byłby czartem, gdyby dał się dręczyć ludziom. Skoro się uciszyło na rynku, zerwał okowy, wyważył drzwi i znalazł się na wolności. „Hrabią być nie mogę — pomyślał — choć modny mam ubiór, bo nie umiem po francusku, natomiast zostanę szlachcicem i zamieszkać w pięknym dworze“.

O dwa dni drogi za Zamościem ciągnęły się obszerne pola, mało jeszcze zamieszkałe, tam więc udał się Rokita, aby osiać na stałe. Upatrzył sobie wcale obszerny pagórek, wybudował dom, który przypominał kształtem psią budę, chociaż był znacznie obszerniejszy, i naspędzał z okolicy chłopów, aby mu orali i obsiewali pole.

Twarda była służba u diabła. Skoro świt, gnał czart chłopów w pole, mało im dawał jadła i smalił batem, gdy ustawiali w pracy. Często srożył się Rokita nad pomyślenie. Wszystko było mu złe, wszędzie coś znalazł nie po swej myśli i tak się sierdził, że piana wypływała mu na gębę.

Nie wiadomo, jak długo znosiliby chłopci to ciemęstwo, gdyby nie Antoniowa. Mąż jej, chociaż nie ułomek, aż stękał od trudu, a gdy noc przyszła, padał niby kłoda na posłanie i żadna siła nie mogła go poruszyć.

„Złe jest z chłopem — dumala baba — ten czart go zamorduje, lecz niedoczekanie jego!“

I zmartwienie swe zwierzyła Sikorowej i Czubaczce, a obie kobiety potwierdziły, iż z ich mężami to samo się dzieje. Rada w radę, postanowiono nauczyć diabła rozumu.

Nazajutrz rano wstał Rokita szczęśliwy i uśmiechnięty, do kobiet szczyrzył zęby, a chłopów wesoło popędzał batem, iż zasapali się okrutnie, chociaż do południa było jeszcze daleko.

A gdy słońce najjaśniej rozgrzewało, parząc aż do krwi grzbiety, omdlała szkapa u pługa.

— Babę zaprząc na jej miejsce! — wołał diabeł i próbował zarzucić chomąto na Sikorową.

Cwana baba niby pozwalała, niby wypraszała się od zaprzęgu, upatrywała jednak, aby diabeł się zagapił. A gdy czart na chwilę stracił uwagę, zarzuciła mu kantar na pysk, ochelstała bestię i dzierząc go silnie przy wędzidle, włożyła na leb chomąto.

Nie opatrzył się nawet Rokita, gdy zaprzężono go do pługa: Czubaczka z lewej strony, Sikorowa z prawej popędzały czarta miotłami, a Antoniowa trzymała pług za kijce, aby brał jak najgłębszą skibę. Słońce już zaszło, a ba-by jeszcze oraly w diabła, aż padł z umęczenia.

Gdy przyszedł do siebie, głęboko się zastanowił: „Szlachcicem nie będę, psia to robota, wolę zostać chłopem. Sam sobie ze wszystkim dam radę i tyle obsieję, ile zjem“.

Szedł więc diabeł trzy dni, aż zaszedł w bagna poleskie i upatrzył sobie piękną miejscowość, i został Poleszukiem.

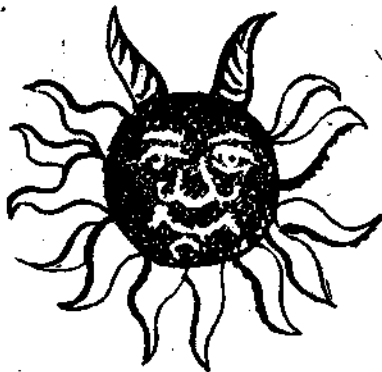
Na gospodarstwie jednak całkiem mu się nie wiodło. Posiał ziemniaki, a owies posadził, i nie mu się nie urodziło.

— Lichą wybrałem ziemię, pójdę gdzie indziej — rzekł diabeł i wyniósł się w inne strony. Ludzie zaś nazwali zaraz Rokiciem to miejsce, w którym czart gospodarzył.

Trzysta lat mija, a diabeł szuka ciągle odpowiedniego dla siebie gospodarstwa. Miał ich już bez liku, lecz na żadnym nie mógł wyjść na swoje. Teraz darmo już ziemi dostać nie może, bo mało jej na świecie, chodzi więc po jarmarkach, wypytuje się i targuje, płaci wódkę i piwo, a gdy kupna nie ubije, mści się na chłopach.

Jednego wepchnie w bagno, innemu gnaty przetrąci w sprzeczce, są tacy, na których spuści taki tuman, iż błądzą po ostępach i nie mogą trafić do domu. Niejednemu upuścił krwi lub zamroził na zimnie, i tak czyniąc lajdactwa, raduje piekło i gubi dusze ludzkie.

Pańskich diabłów nie znosi, a gdy czasem go zagadną, wykręca się do nich zadem i takie brzydkie słowa mówi, iż lepiej nie słuchać.



HISTORIA ŻARŁOCZNEGO DIABŁA FUGASA

Nie było żarłoczniejszego diabła od Fugasa. Gdy wojewoda indyjski, Oribel, przysłał Lucyferowi skrzynię najlepszych fig ze swego kraju, obżartuch Fugas wdarł się do spiżarni i tak długo jadł, aż zjadł wszystkie, nie pozostawiając panu okruszynki na pokosztowanie.

Kiedy indziej znowu Lucyfer kazał kucharzowi ukuchcić pasztet z serc grzeszników, którzy piórem przywodzą ludzi do złego. Skoro podano ten specjal, zdziwił się Lucyfer; iż starczyło ledwie na jeden kęs. Nim bowiem Fugas doniósł misę z kuchni do stołu księcia ciemności, obżarł się tak potężnie, że mało nie pękł, i długo potem chorował, albowiem potrawa była zbyt mocna.

Cierpliwie znosił Lucyfer lakomstwo pacholka, aż wreszcie wygnał go na ziemię, zakazując mu pokazywać się w piekle aż do końca świata.

Fugas był bardzo zadowolony z tej zmiany losu. Nie głodował wprawdzie u Lucyfera, ale też nie otrzymywał żadnych przysmaków. Dostawali je bowiem czarci wyższych rang, a jemu, biedakowi, przeznaczono tylko kości do obgryzania i resztki ze stołu. Bywało nawet, że nie dojadł i musiał się obywać smakiem. Skoro więc wypędzono go z piekła, czuł się bardzo szczęśliwy: wywijając pociesznie

koziolki, skoczył natychmiast na ziemię i nie ukrywał swej radości, iż teraz dopiero naje się i napije do syta i wedle własnego smaku.

Trochę się jednak zawiódł w rachunku. Wprawdzie ludzie zapalają świeczkę czartowi, ale nikomu nie przychodzi do głowy zapraszać i raczyć nikczemników wszystkim, co mają najlepszego.

Początkowo chciał Fugas postępować uczciwie. Skoro więc ujrzał dym w kominie, pukał do drzwi i skłoniwszy się gospodyni, przemawiał:

— Jestem diabeł, dajcie mi się najeść dużo i dobrze!

Kobieta, usłyszawszy te słowa, nie spełniała nigdy żądania czarciego, lecz odzęgnywała się krzyżem świętym. Diabeł zaś nie tylko nie otrzymywał poczęstunku, lecz musiał czym prędzej uchodzić, mając respekt przed znakiem Męki Pańskiej.

Raz nawet omal nie przyplacił Fugas zdrowiem swej uczciwości. Zawitał do pana Niemiry i rzekł prosto z mostu:

— Jestem diabeł rodem z piekła, daj mi jeść i pić!

Niemira był chytrym człowiekiem. Niby się ucieszył z odwiedzin, wprowadził diabła do świetlicy, posadził go za stołem i wniósł ogromny dzban wina.

Fugas lyknał kilka razy i zakręciło mu się we łbie. Nie czuł nawet, jak Niemira skrępował mu ręce i nogi, wsadził diabła w worek i kazał nieść nad rzekę, ażeby utopić poczwagę, a potem przywalić poświęconym kamieniem, spod którego się nie wydobędzie, chyba aż na Sąd Ostateczny. Nad samym brzegiem zmiarkował dopiero czart niebezpieczeństwo i w ostatniej chwili wysliznął się z matni.

Po tym wypadku przyszedł Fugas do przekonania, że niewiele zarobi na ziemi w uczciwy sposób, a dopytać się może niemałej biedy. Stał się więc oszukańcem. Już

nie mówił nigdy, kim jest, i skrzętnie ukrywał swe pochodzenie, przedstawiając się szlachcie jako szlachcic, mieszczanom jako mieszczanin, a biedocie jako biedak. Ale niewiele zyskał na tym sposobie.

— Skoroś równy nam, więc jedz i pij to, co i my — mawiali gospodarze, a Fugas nie był zadowolony z takiej gościny, bo chciał lepszego i obfitszego przyjęcia.

Wyobraził więc sobie, że skoro uchodzić będzie za króla, nie poskąpią mu niczego i otworzą na ścieżaj piwnicę i spiżarnię.

A zdarzyło się, iż wedle Bożego Narodzenia czlapał Fugas drogą, rozmyślając, gdzie wejść, aby nasycić głód i pragnienie, które go strasznie dręczyły. I zdążając do Bodzanowa, napotkał gromadkę chłopców, spieszących w stronę miasteczka. Wdał się z nimi w rozmowę, a gdy go zapytali, kim jest, wyrzekł z wielką pewnością siebie:

— Jestem królem!

— Doskonale się składa — odpowiedział najstarszy wyrostek. — Chodzimy po kolędzie i zgubiliśmy w drodze króla Heroda. Ziałbł strasznie, więc pozostał w chałupie, aby się ogrzać. Bierz w rękę berło, na głowę czapkę z koroną, będziesz Herodem! Nadajesz się do tego doskonale, bo masz śmieszny pysk. Fugas wolął być Sobieskim lub królem francuskim, lecz pomyślał, że Herod również był wielkim władcą, bo porwał się nawet na Pana Jezusa. Przyjął więc zaproszenie i przystał do kompanii. Nie wiedział jednak, co czyni.

Skoro przyszli do miasteczka, zapukali do domu burmistrza, aby zakolędować. Diabeł wił się w boleściach, wykrzywił gębę, jakby łykał piołun, to bladł, to czerwieniał, gdy kompanowie śpiewali o Najświętszym Dzieciatku, wytrzymał jednak do końca i sam nie najgorzej podśpiewy-

wał, aby nie wyszło na jaw, że jest czarzem, gdyż miał już doświadczenie, jak niebezpiecznie z tym się wydawać.

Gdy przyszło do rozrachunku między kołédnikami, nasypało Fugasowi pół czapki groszaków. Pocił się, bo pocił, ale zarobił na dobrą wieczercę. Nigdy jednak już potem nie chciał udawać króla, wolał być złodziejem.

Lecz w złodziejskim zawodzie strasznie musiał nadwierać rozum, aby wymyślić, gdzie pójść i co złapać. Czasami cały dzień chodził pod opłotkami i krył się w wilgotnych norach, zanim wypatrzył sposobność, żeby ukraść jaki kasek. Nic więc dziwnego, że stał się niewybredny, a niekiedy podjadał nawet psy w budach, nie gardząc też gorszą strawą.

Dobrze było Fugasowi, gdy zaprzyjaźnił się z majstrem Cachem w Czerwińsku. Osobliwy to był człowiek. Mierzył z górą cztery łokcie i nie było w całej okolicy ani jednych drzwi, przez które mógłby się przecisnąć bez trudności, takie bowiem miał szerokie bary i wzniosły brzuch.

Majster Cach szył mieszczanom żupany i kapoty, a że mu się nieraz cniło przy robocie, więc jak mógł, rozpraszał nudę.

Co zrobił ścieg, przegryzł pieczenią i popił piwem, więc rósł wszcz, i wedle jego grubości każdy miarkował, iż był znakomitym krawcem i roboty miał niemało.

Fugas spędzał Cachowi klientów z dalszych nawet okolic, rozgłaszając wszędzie, iż przyjaciel jego jest mistrzem ponad wszystkie mistrze, a tak szczęśliwym, że człowiekowi odzianemu w żupan przezeń uszyty wszystko się darzy i nic nie zawodzi.

Dzięki temu rozgłosowi majster szył i tył, a tak już utył, iż trudno mu było ruszyć się z miejsca bez stękania i sapania.

Mówili przeto ludzie:

— Niedługo już pożyje nasz majsterek, bo go zaleje własny tłuszcz.

Skoro to usłyszał Fugas, przybiegł w te pędy do domu majstra, usiadł pod warsztatem i pilnował, rychło grubas wyzionie duszę, aby ją porwać i wrzucić w ogień piekielny.

Siedzi diabeł, majda nogami, bo mu się przykrzy czekanie, i spogląda raz na brzuch majstra, to znów na tłustą pieczeń, leżącą wedle warsztatu. Ślina mu wypływa na usta z ogromnego łakomstwa, a co krawiec ugryzie kasek, Fugas połknie trzy albo i więcej, gdy grubas odwilży gardło jednym łykiem piwa, diabeł wypije cały kufel.

Skoro nastał wieczór, majster woła:

— Dajcież mi czegoś uczciwie przekąsić, bo mnie aż ściska z głodu — a Fugas ledwie się może ruszyć, tak się objadł i opił, czekając na duszę przyjaciela.

Minął kwartał, majster wysechł na szczapę, a Fugas zgrubiał jak beka. I krawiec byłby może umarł z wygłodzenia, gdyby nie zauważył, kto go bezczelnie podkrada. Kiedy bowiem majster, już srodze osłabiony, zażądał mocnej polewki, diabeł jakby nigdy nic przysunął się do stołu i korzystając, iż przyjaciel zdjął z nosa okulary, podjadał go w łajdacki sposób. Co krawiec nabierze pełną łyżkę, Fugas chlip, a łyżka jedzie próżna do ust niedowidka.

— Tam do licha, co się dzieje? — zawołał Cach i nachylił się, żeby ujrzeć, czy łyżka nie dziurawa. I w tej chwili zauważył, jak diabeł smakowicie się oblizuje, więc go lychą w łeb, aż Fugas spadł z zydła.

Majster zerwał się na równe nogi, aby pochwycić złodziejaszka i natarmościć mu uszu. Lecz czart nie czekał, brzdęk w okno, wytłukł szybę i potoczył się jak kula w ogród. Szczęściem, że krawiec nie mógł diabła ścigać, bo był bardzo osłabiony z głodowania, inaczej byłoby

z Fugasem źle, bardzo źle, gdyż Cach był chłop zapamiętały, a gdy bił, to nie na żarty.

Więc nigdy już nie próbował diabeł przyjaźni z ludźmi silnych pięści i wołał wybierać chudziny i niemrawców, gdyż łatwiejsza z nimi była sprawa i mniej niebezpieczeństwa.

Idąc więc bitym gościńcem, zauważył chłopą popędzającego szkapiny. Chłopu kurzyło się z czupryny, a wóz zataczał się od rowu do rowu. Diabeł był bardzo zmęczony, a siniec na łbie parzył go nieznośnie. Do nozdrzy czarcich doszedł nagle zapach wędzonej kielbasy i miły chlust gorzałki w niezgorszej beczulce. Fugasowi zaiskrzyły się radością oczy i od tylnych drabek wskoczył na wóz, wsunął się między słomę i nakrył z głową.

A chłop pomrukuje:

*Gorzalczkę wiozę i beczulkę wina,
Aby goście pili na chrzcie mego syna.*

Diabeł namacał ręką, gdzie leżą obie baryłki, wygrzebał pazurem szpunt i cmoknął z całej siły. Raz gorzałkę, potem wino, a na przekąskę gryzł kielbasę, aż mlaskało.

Woźnica coraz głośniejsze pokrzykiwał, naciskając czapkę na bakier, bo mu w duszy było wesoło i rażno, a czart przykładał ciągle pysk do beczek. Gdy wysączył już wszystko do ostatniej kropelki i zjadł, co było, prasnął chłopą łapą w kark i zawołał:

— Dokąd jedziecie, gospodarzu?

— Do Koziebród, kumie — odpowiedział chłopina zadowolony, że może się z kim ugadać.

Diabeł szarpnął lejcami na lewo, a konie zboczyły z drogi, pędząc w stronę Sierpca, dokąd mu się spieszyło, albowiem umówił się z grubą Magdą na podwieczerek. Skoro

zobaczył jej dom, zeskoczył z wozu i podciawszy batem konie, aby gnały na bezdroże, śmignął do chałupy.

A chłop jechał, wreszcie zawadził o pieniek, wywalił wóz i otrzeźwiał. Kiedy zaś przyszedł do siebie i zauważył, że beczki próżne, a kielbasa pożarta, strasznie się mu zrobiło markotno i jał przemyśliwać, jak się pokaże swej żonie i wymówi sąsiadom, którzy proszeni w kumy, przygotowali się już na dobry traktament.

Obszukał wszystkie kieszenie, ale nie znalazł w nich ani grosika. Żyd nie chciał dać na kredyt, więc pelen skłopotanych myśli wracał Maciej do domu.

Przed każdą figurą zdejmował czapkę i prosił wszystkich świętych o natchnienie, gdyż bał się okrutnie żony, jako że była kobietą cnotliwą i prędką. Coś mu szeptało, że tym razem babie się nie wywinie. Nie ma jednak tak głupiego chłopca, który by nie próbował przechytrzyć kobiety. Więc zaraz od swej granicy przeżegnał się pobożnie i począł śpiewać litanie, bijąc się w piersi całą garścią.

Zdumieli się sąsiedzi, słysząc te śpiewy, a najbardziej dziwowała się Maciejowa wiedząc, że chłop jej nie zanadto rwie się do kościoła i do modlitwy nie bardzo jest namolny.

Więc gdy Maciej skończył antyfonę, przysunęła się do chłopca, jak mogła najbliżej, i łaszcząc się niby kocica, rzekła:

— Pocałuj mnie, mążulku najmilszy.

Maciej znalazł się na tych sztuczkach, przeto przejeżdżając przez leśną polanę, dobrze wytarł gębę miętą. Zaraz też ulapil żonę i pocałował ją w same usta.

— Widzi mi się, że od ciebie jedzie miętówką, mążulku mój najdroższy...

Wymawiając te słowa już rozmachiwała rękę, aby wziąć dobry rozpęd, ale przewidział ten ruch Maciej, bo objawszy babę oburącz, mówił przekonującym głosem:

— Nie miętówka tak pachnie ani żubrówka, lecz woń sprawiedliwych, bom spowiadał się u Bernardynów, dlatego zabawiłem nieco przydługo w mieście, ale jakichś nie zazna człowiek niewygód, aby osiągnąć zbawienie?

— A wódkę i wino na chrzciny przywiozłeś? A kielhasa jest?

— O niefortunna niewiasto! — zawoła chytry chłop. — Wódkę byś złopała, sąsiady rozpijała, rozkosz ciała dawała? Smażyć się będziesz w snole po uszy! Pieniądze, które dałaś mi na zakupy, ofiarowałem ojcom Bernardynom, aby mszę odprawili za twe nawrócenie.

I tak chłop jęczał i wyklinał występki, że w babie ruszyło się sumienie i czując własny grzech, przemówiła jak najłagodniej:

— Dla kumów uwarzę trochę piwa, a na przekąskę wystarczy kolacz i dzierzka sera. Przekonałeś mnie, męsulku, i idąc twym śladem zaraz po chrzcinach wybiorę się do ojców Bernardynów, aby mnie także uświęcili.

I jak rzekła, tak się stało.

Przypadkiem przejeżdżał przez Koziebrody Boruta, a widząc, co się dzieje, kazał przywołać do siebie Fugasa.

Jaka była rozmowa wojewody z diabłem, nikt nie wie. Fugas wprawdzie wyszedł od Boruty uśmiechnięty i zadowolony, jakby nigdy nie się nie stało, ale pysk miał zaczerwieniony i dłuższy czas posykiwał, siadając na sadzie. Gdy go zaś częstowały przepalanką wojewodzińskie birbanty, odsuwał kieliszek, mówiąc:

— Nie dla diabelskiego gardła ten napój, lecz dla ludzkiego, i nie godzi się czartowi niszczyć tego, co przeznaczone na zgubę człowieka.

Birbanty zaś śmiały się i tykały kielich po kielichu, żalując Fugasa, iż utracił radość życia.

Po rozmowie z Borutą i odprzysiężeniu się gorzałki oraz wina pospieszył Fugas do Koziebród, aby odrobić zło, którego napytał. Postanowił tam pomieszkać przez czas dłuższy.

Żył biedaczek jak pies, tulając się po oborach i komorach, sypiał w popiele pod kuźnią, a gdy nastaly jesienne pogody, zaszywał się w bróg siana. Tu porwał, tam polizal, niekiedy o północy wydoił krowy w oborze, bo przecież jeść mu się chciało i nie mógł przymierać głodem.

Nad miarę zaś czuł się szczęśliwy, kiedy udało mu się wcisnąć do karczmy i ukraść kugiel żydowski lub kawałek szabaśnej rybki. Czynił to jednak bardzo przezornie, aby się nie zdradzić, bo koziebródzki proboszcz doskonale znał się na fintach diabelskich, a kropidlą miał jak wiechę. Jeśli kropił, wyglądało, iż chmura urwała się w niebiosach i spada ulewa. Taka kąpiel przerażała diabła, a egzorcyzmów bał się gorzej niż wojewody łęczyckiego, a nawet samego Lucyfera.

Po mokrej jesieni nastal okrutny mróz na świecie. Fugasa za mało grzały już kudły i pewnej nocy omal nie zamrzł na sopol. Pomyślał więc: „Niech się dzieje, co chce, wleżę do Maciejowej chałupy. Najpobożniejsi to ludzie w Koziebrodach, nikt się więc nie domysli, że chowają diabła. Będąc zaś bliżej nich, znajdę łatwiej sposób, jakby wtrącić oboje do piekła“.

I tak zrobił. Zaszył się w piec i nie wychylał łba z dziury. Strasznie mu się przykrzyło takie życie. Jeść miał co, bo jadlo stawiano w kominie tuż przed diabelskim nosem, ale drętwiały mu uda z ciągłego leżenia i głowa go bolała od ustawicznych rozpamiętywań.

Spał, ile mógł, ale wreszcie i sen mu obmierzl, więc wiele ryzykując, wychylił się z nory, aby wyprostować członki. Przeszedł się po izbie, zwędził mimochodem tro-

chę tytoniu do fajki i zapragnął wyrzucić na świat, bo nie oglądał go już trzy tygodnie.

Ogromnie pięknie wydawało mu się na dworze. Srebrne kiście drzew klaniały się sobie w sadzie. Gwiazdami srebrzyło się niebo, a na białym śniegu połyskiwały miliony brylantów.

W taką biel ubierają się Boscy aniołowie i tak akuratnie skrzą się ich włosy i szaty.

Diabłu zrobiło się żal, że nie nosi takiego płaszcza, choć mógł go mieć dotąd, gdyby nie dał się unieść pysze i nie przystał do Lucyfera.

Fugas chciał policzyć brylanty rozrzucone na śniegu i już doszedł do biliona, gdy dziecko zakwililo w kołysce.

— Cicho, cicho, małeńki — szeptał diabeł i zdjęty obawą, aby matka się nie zbudziła i nie przerwała mu dumania, zakolysał dziecko: Huś, huś!



Podniosła powieki Maciejowa i widzi: diabeł dziecko kołysze. A niech kołysze, bezgrzesznym czart nie szkodzi, a do dobrych nie ma też przystępu, i nabożnie się przezegnawszy, zasnęła znowu jak kamień.

Ośmieliło to Fugasa i odtąd co noc wychodził na izbę, aby spojrzeć przez okno, czy zawsze tak pięknie na świecie, lecz równie anielskiej nocy, nigdy już potem nie oglądał.

Do samego lata przeleżał Fugas w Maciejowej chałupie. Cichcem nawet wyręczał gospodarza: to koniom zarzucił siano za drabki, to drew narąbał, wodę przyniósł ze studni, i gdy Maciejowa wyszła do sąsiadek, ubawiał dzieciaka i nieraz dla niego ukradł u kupca piernik lub jabłko, bo mu się malec bardzo podobał.

Małżonkowie często dziwili się, kto to wszystko robi, a gdy pewnej nocy usłyszeli wyraźnie, jak żarna miałą pszenicę, którą przeznaczyli do umielenia, zawołał Maciej do żony:

— Chyba diabeł nam służy...

— Niech służy, kiedy mu dobrze — orzekła niewiasta i zatkała ręką usta mężowi, żeby nie spłoszył robotnika.

I naprawdę dobrze było diabłu u Maciejów, więc choć obiecywał sobie wtrącić ich do piekła, zawsze odkładał to do jutra, i tak mu zbiegło aż do upalów.

Fugasa jednak zgubiło łakomstwo. Cóż mógł biedaczek poradzić, gdy ciągle laskotało go podniebienie i ślinił mu się język na widok różnych dobroci.

Pewnego upalnego południa wsunął się biedaczek do proboszczowskiej piwnicy, aby uchronić się od skwaru słonecznego. Rozebrało go w miłym chłodku i tak się zdrzemnął, iż przeszedł mu niepostrzeżenie dzień i dobrze już po zachodzie diabeł przetaił oczy. Chciało mu się pić, a tuż przed nosem stał garnek pełen śmietany. Wonny,

chłodny, rzeźwiący. Fugas nie mógł się oderwać od tego widoku i choć rozum nakazywał mu hamować łakomstwo, nie zdołał oprzeć się pokusie.

— Umoczę choć koniec pyska, jedną kropelką zwilżę spieczone gardło — mruzczał diabeł. I straciwszy nad sobą panowanie, przyłożył pysk do garnka.

Skoro go oderwał, przeląkł się własnej słabości. Wy-chlał większą część śmietany.

— Co teraz będzie, co będzie? — zajęczał Fugas wi-dząc, że nie wymiga się już księdzu.

Potężne kropidło przejmowało go dreszczem. Chciał biec, ale nie wiedział, dokąd. Przyrzekł Borucie, że całą wieś ściągnie na bezdroża, a Macieja i Maciejową uczyni sprzymierzeńcami piekła.

— Wszystko przepadło — zawył cicho i sam się chciał wytrząsać po nienasyconej gębie.

W tej rozterce wydobył się z piwnicy, unosząc z sobą resztę śmietany w garnku, której żał mu było zostawić, bo smakowała mu niezmiernie.

Cwałując drogą dojrzał na zakręcie niedawno wznie-sioną przez pobożnych parafian figurę świętego Anto-niego, patrona rzeczy zgubionych i obrońcę przed złodzie-jami. Wzdrygnął się diabeł na ten widok, wiedząc do-kładnie, iż święty patron natchnie proboszcza, gdzie szu-kać należy istotnego sprawcy kradzieży.

Diabelskim rozumem postanowił skierować podejrzenie na inne tory i oczernić opiekuna pokrzywdzonych ludzi. Wdrapał się więc na figurę, omazał śmietaną brodę i wasy świętego, co zostało, wypił, garnek zaś rozbił, a skorupy wrzucił do wody. Dokonawszy tego dzieła, czmychnął do Maciejowej chałupy, aby tam doczekać się końca sprawy.

Nie na wiele zdała się diabłu chytrłość.

Proboszcz, wykrywszy złodziejstwo, długo się zastana-

wiał, co o nim sądzić. Ani w Piśmie świętym, ani w rubryceli nie znalazł śladu, aby święci krzywdzili plebanów. A jednak wszystkie pozory przemawiały za tym, że święty zlakomił się na śmietanę. Dzień taki skwarny i noc nie chłodniejsza, zachciało się staruszkowi pić — tłumaczył proboszcz.

— Gdybyż dał jaki znak, nie pożałowałbym mu niczego. Niewielka to wprawdzie strata, ale zawsze nieładnie — gderał w duchu pleban.

Po chwili jednak zrozumiał, że myśl jego zesłała na manowce i pożałował posądzenia. Wrócił jeszcze raz do figury i obejrzał ją dokładnie. Na brunatnej szacie posągu dojrzał wyraźnie ślad pazura, a wyżej jeszcze kudły z diabelskiego poszycia. Teraz nie miał już żadnej wątpliwości. Była to sprawa szatańska.

Proboszcz wiedział, co mu teraz czynić wypada. Zwołał całą gromadę i zapowiedział, iż nazajutrz wykadzi i wykropi wszystkie domy i zakamarki, ażeby wypędzić diabła z Koziebród.

Na tę uroczystość nie chciał czekać Fugas i drapnął, gdzie pieprz rośnie. Do Koziebród już nie zagląda z obawy przed srogim proboszczem, ale biega dotąd po polskiej ziemi, żywiąc się, jak może. Tu porwie kawał słoniny, tam skibkę chleba, a ludzie myślą, iż czyni to pies, kot, szczur lub inny jakiś łakomczuch. Nieświadomi rzeczy ważnych i doniosłych, nie zdają sobie sprawy, iż takie jest powołanie Fugasa i diabeł ten innym już nie będzie.

Długi czas nie wiedział Lucyfer, co się dzieje, że diabły wodzą się za czuby, wymyślają sobie wzajemnie i jeden na drugiego spogląda jak bazyliżek. Niby się uśmiecha, niby czuli, w gruncie zaś rzeczy przydeptałby ochotnie ogon przyjaciela lub wbił mu w piersi sztylet.

Jak piekło piekłem nigdy tego dotychczas nie bywało!

Zmartwił się więc księżę ciemności wiedząc, iż niezgoda rujnuje najzamożniejsze królestwa, przeto i jego może zrujnować.

Co tu gadać, trzeba było radzić, bo diabły stawały się coraz bardziej zadzierzyste, rozbijały sobie paszczyki, przetrącały gnaty, a honorniejsze między nimi wyzywały się na broń sieczną lub palną, z czego przychodziło do ciężkich porażeń, a nawet kalectwa.

Najbardziej zaś szalał Iskrzycki. Niewielka to była sztuka, ale tak czupurna, iż nawet potężny Lewiatan ustępował mu z drogi i gdy go kiedy przypadkiem napotkał, choć w niczym nie zawinił, mówił „przepraszam“, ażeby na wszelki wypadek zabezpieczyć się od obrazy.

Iskrzycki wałęsał się cały dzień po piekle i dochodził swych krzywd. Pięćdziesięciu diabłom już porąbał pyski szerpentyną, bo był znakomitym fechtmistrem, pięć-

dziesiąt uszu obciął, pięćdziesięciu czartów postrzelił, a drugie tyle a może nawet i więcej miał nie załatwionych porachunków.

Choć Lucyfer nie lubił, żeby się diabły wadzily, szanował Iskrzyckiego i często o nim mówił:

— Uczy on przynajmniej moresu gburów i nieokrzesaniców, lepsze zatem obyczaje panują w piekle, a czarty są grzeczne i uprzejme.

Lecz co za wiele, to za wiele!

Zawołał przeto Lucyfer Iskrzyckiego i tak mu powiada:

— Zwariowałeś, diablów siekasz jak cielęcinę, stu pięćdziesięciu już naznaczyłeś i jeszcze ci nie dosyć...

— Nie mogę, najciemniejszy panie, nie mogę darować. Korzę się posłusznie przed twym majestatem, ale obrażać się nie pozwolę.

— Co u licha! — zawołał Lucyfer. — Kto by śmiał zaczynać z takim hałaburdą?...

— Nikomu dotąd nie wadzilem, utrzymywałem w porządku szpikulce na grzeszników. Gdyś wyraził życzenie, najciemniejszy panie, obchodziłem nocą strażę i nikomu nie przepuściłem. Coś kazał, czyniłem, ale honor mam i nikt mi go nie odbierze.

Widzi Lucyfer, że nie przelewki, bo diabeł bardzo rozżalony i omal mu lzy nie kapią z oczu, więc zaczyna inaczej:

— Kochany Iskrzycki, dobry z ciebie kmostr, powiedz, co ci dolega?

— Mówią, że mogę zostać rogaczem. Raczej bym zniósł, żebyś mnie, najciemniejszy panie, kazał łamać kołem lub kapać w lodzie, niż gdybym miał istotnie zasłużyć na podobną obelgę. Błagam przeto, pozwól, niech odejdę na ziemię, abym uciekł z tego piekła, gdzie mnie ranią tak boleśnie.



— Wstrętne pudło — zawołał Lucyfer — tyle z nią kłopotu, a to wszystko z winy tego głupca, Orfidona, który grywa na gitarze. Nie może, bestia, wygrywać bykom ognistym lub salamandrom, tylko zachciało mu się Sabiny.

Wszystkie inne diabllice powyrzucałem już na ziemię, aby tam gospodarowały, a tę tylko jedną zostawiłem w piekle, bo mi wytłumaczyli przyjaciele, że muzykus bez niej żyć nie może. Ot, i co? Wszystkie diałby tracą dla niej lby, swarzą się i rozbijają, a głupi Orfidon zżera się zazdrością, lamentuje i boleje, aby wszystko to potem wybrzdąkać na gitarze.

Prawda, pięknie brzdąka, aż mnie samego nieraz przejmują dreszcze.

— Przysięgła — mówi Iskrzycki — iż tylko ze mną pragnie pędzić życie, bo nikt jej tak nie rozumie jak ja i nie ma przyjemniejszego diabła ode mnie. Lucyfer zaśmiał się pod wąsem, lecz nie śmiał powiększać bólu rozżalonemu czartowi, więc przygryzł wargi i słuchał dalej narzekań.

— Cudnie się wszystko zapowiadało... Orfidon wymyślał coraz nowe melodie, a Sabina odbywała ze mną dalekie przechadzki!... Ażeby jak najdalej umknąć od znajomych, zabrałem nietoperzowi skrzydła i tak długo przymierzałem je i próbowałem, aż nauczyłem się latać. Sądzałem więc codziennie Sabinę na barach i rwałem z nią przez powietrze do cichych ustroni... Ach, jak nam było

dobrze!... — Iskrzycki ryknął bekiem, a Lucyfer pożalowszy diabła, odezwał się wzruszony:

— Widzę, że jesteś zgubiony. Odejdź więc na ziemię, a gdy się opamiętasz, przywołam cię z powrotem do piekła...

— Lecz Sabinę pozwól z sobą zabrać! Siądzie na mnie jak na koniu i ani się obejrzy, gdy będziemy na ziemi wolni od diabłów, które jej depcą po piętach.

— Czyś zwariował, Iskrzycki?! — perswadował Lucyfer. — Alboż tam na ziemi mało masz bab? I to jakich! Co ci po takiej starej klaczy?

Rozkochany jednak diabeł ryczał jak bawół i błagał, że Sabina jest najmiłszą ze wszystkich i poza nią nie widzi świata. Zaś muzykus Orfidon tak bardzo za nią nie przepada, bo więcej myśli o pieśniach niż o kochance.

— A zatem spróbujemy, lecz gdyby nasz grajek miał oniemieć z powodu utraty diablicy, odwołam Sabinę natychmiast, a ty sobie radź, jak chcesz — rozstrzygnął Lucyfer.

— Nie ma obawy, nie ma obawy! — wołał uradowany Iskrzycki. Cmoknął księcia w ogon i poleciał w odległą czeluść piekiel, gdzie spodziewał się odnaleźć diablęcę.

Dla swej ukochanej urządził czart prawdziwy raj na ziemi. Własnymi pazurami wydłubał obszerną dziuplę



w drzewie. Obsadził wokoło pachnące róże i zwabił słowiki, aby wyśpiewywały rzewne trele.

Sabina spoczywała na miękkuchnej podściółce z mchu, a diabeł przynosił jej same przysmaki: to słodki owoc, to plaster miodu lub puchar rosy porannej; nie zbywało jej też na cukrach i piernikach, a gdy zapragnęła jakiej ozdoby, już ją miała... Choćby spod ziemi, ale wy dostał ją Iskrzycki!

Pewnego poranka wyszła Sabina, aby zobaczyć, jak wygląda świat, bo dotąd go nie widziała. Wprawdzie dochodziły ją słuchy, rozszerzane przez wypędzone z piekieł diablice, iż na ziemi jest rozkosznie, lecz jakaż kobieta da wiarę drugiej kobiecie, która coś bardzo wychwala.

Pierwsze kroki rozczarowały Sabinę i pomyślała sobie, co za wściekle nudy muszą panować na ziemi. Nic, tylko drzewa i bagna, czasem mignie polana i trochę zieleni, a poza tym przerażająca pustka.

Nie wiedziała tego diablica, iż osadził ją Iskrzycki w głębi olbrzymiego boru, dokąd nie zbłądziła ludzka noga. Tak bowiem był zazdrosny o swą ukochaną, że nie chciał, aby poznała ludzi.

Wprawdzie diabeł znał więcej od człowieka, lecz nie wiadomo, czy Sabinie właśnie nie spodobały się chłopcy, tak jak się spodobał innym diablicom, że łańcuchami nie ściągnąłby ich teraz do piekła.

Razu pewnego, gdy zakochana para przechadzała się po lesie, rozległ się nagle łoskot, jakby w pobliżu zwałono drzewo. Oboje drgnęli. Iskrzycki z przerażenia, Sabina z ciekawości. Diabeł zawrócił natychmiast do domu, ale Sabina chciała biec w kierunku, skąd dochodził łomot siekiery.

— Wracajmy natychmiast — wołał Iskrzycki.

— Zobaczmy, co to takiego — prosiła diablica. I tak

długo przymilala się i lasiła, aż kochanek ustąpił i poszedł tam, gdzie chciała.

Na skraju polany stał drwal, niechlujny i kudłaty, podobny raczej do zwierza niż do człowieka. Jedno jego oko powlekało bielmo, a drugie patrzyło zezem, uśmiechał się sam do siebie bezzębnymi ustami, a obrzękła twarz miała barwę buraka.

Sabina aż zachłysnęła się z zachwytu. Pełna szczerego podziwu spoglądała na drwala, aż w końcu wyszeptala:

— Ach, jakież on piękny!

— Małpa! — ryknął diabeł.

— Piękniejszy od ciebie, mój najdroższy!

— Wygląda jak kosmaty niedźwiedź.

— Lecz co za wzrost, co za budowa! — dowodziła diablica.

— Głupi jak stołowe nogi — syczał diabeł.

— Ale jaką musi mieć siłę, skoro obala takie dęby! Nie potrafilbyś tego, mój Iskruniu...

— Dziesięć takich dębów wyrwałbym z korzeniami.

— Sądząc z tej strony, z której cię znam, powątpiewam — odpaliła diablica.

I nie czekając, co odpowie kochanek, pędem puściła się w stronę drwala i objęła go za szyję.

Iskrzycki oniemiał z oburzenia i stał w miejscu nieruchomy. Gdyby mógł, zabiłby rywala, lecz prawa diabelskie wzbraniają diabłom podnosić rękę na ludzi, skomlał więc tylko z wściekłości i sypał z oczu takie złe spojrzenia, że skrami jarzyły.

Drwal jednak nie uląkł się tej grozy, lecz wzgardliwie splunąwszy w stronę licha, zajął się Sabina.

Chłop wyprowadził diablicę z puszczy na świat, lecz niedługo cieszył się posiadaniem kochanki.

Zaraz w najbliższej karczmie musiał zastawić pas rze-
mienny i siekiere, bo Sabinie zachciało się obwarzanków
i piwa, a gdy drwał nie mógł jej kupić chustki, którą zo-
baczyła w kramie w miasteczku, opuściła go niewierna
i przyplątała się do kupca.

Ale i kupiec nie mógł nastarczyć kaprysom diablicy,
więc zostawiwszy go w wypróżnionym sklepie, zarzuciła
ramiona na szyję bezwstydnego draba i wraz z nim poszła
w świat używać wszelkich uciech i radości.

Straszliwa to była para. Dotąd jeszcze trwa pamięć tych
zbrodni, jakich dopuścił się kochanek diablicy, przez nią
podżegany.

Sabinie wszystkiego było mało, a gdy drab ofiarowywał
jej pełne szkatuły złota i banknotów, przyjmowała je lekce-
ważąco i robiła wymówki, iż tylko tyle odważył się jej
przynieść. Kochanek rozbijał i mordował, a diablica szy-
dziła z jego niedołęstwa, doradzając mu coraz większe
łotrostwa i zbrodnie. Nie mógł wreszcie drab wytrzymać,
sam się wydał w ręce sędziów i pozwolił powiesić.

Sabina nie zapłakała nad stratą kochanka, lecz rzuciła
się w inne objęcia, a ciągle żarłoczna i nie nasycona, prze-
chodziła z rąk do rąk, domagając się kosztownych bacha-
nalii, marmurowych pałaców, drogich klejnotów, prze-
dziwnych pachnideł i pieścizot dla uszu, smaku, oczu
i dotyku.

Widział to wszystko Iskrzycki i rozmyślał, skąd tyle
złości w jednej diablicy, iż świat cały przewraca do góry
nogami. W piekle tak dokazywać nie mogła! Rozbijały so-
bie o nią diabły lby, to prawda, ale wnet nabierały rozsąd-
ku. Nawet Orfidon-muzykant, o którym wszyscy wiedzą, iż
jest delikatnego serca, umiałby ją utrzymać w ryzach,
gdyby ciągle nie brzdąkał i więcej zwracał na nią uwagi.
Iskrzycki doskonale radził sobie w piekle z diablicą, na

ziemi zaś jest wobec niej bezsilny i tylko na skrzydłach nietoperza przelatuje z jednego końca świata na drugi i wszędy jest, albowiem chce wypatrzeć chwilę, w której Sabina będzie sama. Wie dobrze, co by jej wówczas powiedział. Wcale by nie plakał i nie prosił, jak to czynił Orfidon, ale zarzuciłby ją taką hurmą przekleństw i złorzeczeń, żeby się spod ich ciężaru nie zdołała wydobyć.

Cóż, kiedy jej nigdy sam na sam spotkać nie może. A często nie wie nawet, gdzie przebywa. Już sto lat nie widział zdrajczynie, przeto krąży nad domami ludzkimi, przepatruje podwórka, zaziera w okna i kołuje koło drzwi. A kwili przy tym i pohukuje, odgraża się i złorzeczy tak 'straszliwie, że trwożą się dusze ludzkie, przeczuwając mór, śmierć lub klęskę.

Czyni to zaś nocami, gdyż światło dzienne go oslepia i łatwo mógłby rozpoznać człowieka, iż nie jest ptakiem, lecz diabłem. A kiedy osłabnie, siada na wierzchołku wieży, starej lipy lub topoli i spogląda w dal skrzącymi oczami, a ludzie widząc te ognie mówią, iż Iskrzycki czuwa i grzesznych wypatruje.

Gdy pewnego dnia znużył się diabeł lotem, żalem



i skomleniem, zawrócił do piekła i stanął przed Lucyferem.

— Najciemniejszy panie, każ mi spełniać przy sobie najpośledniejsze posługi, a będę się czuł szczęśliwym — odezwał się Iskrzycki. — Nakaż tylko Sabinie, aby opuściła ziemię i wróciła znów do Orfidona. Niech mnie już zwą w piekle rogaczem i głupcem, godzę się na wszystko i ani razu nie wydobędę z pochwy szerpenty, choćby mnie diabły jeszcze gorzej obrażały.

Księżę ciemności bardzo spochmurniał na te słowa, a Iskrzycki ciągnął dalej:

— Ludziom zadawała okrutnica tak srogie męki, iż chociaż diabłem jestem, przejmowała mnie litość. Niesprawiedliwie przeto, aby człowiek cierpiał już za życia, skoro pokutować będzie całą wieczność.

— Głupi jesteś! — wrzasnął Lucyfer.

— Wiem o tym — odpowiedział pokornie Iskrzycki — bo gdybym miał trochę oleju w głowie, nigdy bym się nie domagał, abys mi pozwolił, najciemniejszy panie, odejść na ziemię.

— Jak chciałeś, tak się stało, a w piekle nie ma już miejsca dla ciebie, albowiem zajęte już są wszystkie posady.

Diabeł jęknął i padł na kolana przed majestatem, błagając:

— Zmiluj się, wodzu piekielny!

Lucyfer kopnął go pogardliwie w brzuch i nie chcąc słuchać jęków, odszedł w inną stronę królestwa. Po drodze zaś przemówił do zawsze uśmiechniętego Bobona:

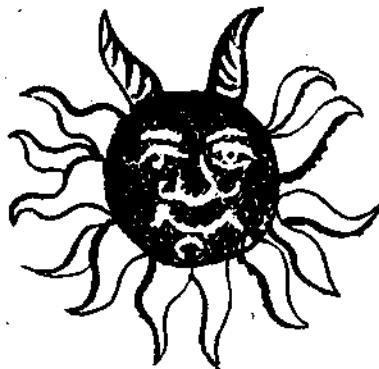
— Po końcu świata szczególnie honorowe miejsce przeznaczyć musimy Sabinie, albowiem zakasowała wszystkich diabłów razem i wiekopomne zasługi oddała piekłu. Orfidon po jej stracie stał się natchnionym śpiewakiem i nigdy

tak pięknie nie wygrywał jak teraz, Iskrzycki zionie taką złością i nienawiścią, iż niszczyć będzie i burzyć każdy ład i porządek, a ludzie wymyślają dla Sabiny różne uciechy, aby ją zabawić i uweśelić.

W tej chwili doszedł do uszu diabelskich dźwięk odległej muzyki, strzelanie korków i hałas zabawy. Lucyfer nastroszył słuch i przejął tony wściekłego tańca i wrzaski pijanej hulatyki. Sabina szalała i zjednywała dusze dla piekła.

Księżę ciemności przechylił się przez balustradę, aby ujrzeć wyraźniej roz hulane grono, i wśród ścis ku ludzkiego spostrzegł postać diablicy. Szklila srebrem i brylantami, uśmiechała się czarownie, sunąc w dygach i podskokach.

Lucyfer długo się wpatrywał, a potem oboma rękami uderzył — b r a w o!



Merdasiński posiadał sławę nie byle jakiego diabła. Był dziwnie urodziwy, że aż sam Łucyfer nie mógł mu się napatrzeć, a diablice spozierały na niego łakomie i nie tały wcale, że bardzo im się podoba.

Przy dziwnej gładkości lic, niezwykłej czartom, posiadał Merdasiński wielki rozum. Umiał przepowiadać deszcz i pogody, a na gwiazdach znał się lepiej niż profesorowie astronomii.

Wyszedł proboszcz w Sikorzu na górkę i mówi:

— Ludzie drodzy, jutro pewna zlewa, bo słońce zaszło za smugi...

Merdasiński w śmiech.

— Kto do licha tak w krzach rechocze...?

A diabeł szust, wlaźł pod most i słucha:

— Od zachodu kurzem miota na slotę...

Wtedy czart w ryk, drze się jak oszalały i tańczy na wydmie, kręcąc się kółkiem, lejkiem, aż pod nos proboszczowi sypnął płacheć piachu i przepadł w parowie.

Słyszano wyraźnie w sośninie: „Żar, żar“ — wszystkim się jednak zdawało, że to łopocą gałązki chojarów, a tymczasem diabeł przedrzeźniał prorocтва astronoma i wieścił upał.

Jakoż miał rację. Nazajutrz i tydzień potem skwarzyło niby w rondlu.

Byłby sobie Merdasiński spokojnie siedział obok lucyferowego tronu i zażywał wielkiej wziętości, gdyby nie był lotrem od urodzenia. Nie zapisano tego w metrykach szatańskich, lecz przebąkiwano wśród czartów, że Merdasiński rozum wziął po ojcu swym, Belzebubie, a gładkość lic odziedziczył po matce, która chociaż była córką kasztelana sandomierskiego, chadzała przecież na Łysą Górę i zadawała się z czartami. Dzięki temu wysokiemu pokrewieństwu ze strony ojcowskiej Merdasiński należał do dworaków Lucyfera.

Lecz odezwała się w nim natura matki. Zamiast badać niebo i gwiazdy lub nadzorować piekielnych palaczy, aby utrzymywali jednakowy ogień pod kotłami, a nie marnowali opalu, kłamał bezczelnie, że z piekła nie widzi nieba, i wrywał się na ziemię.

Było to bardzo chwalebne dla czarta, że przyprowadzał dusze ludzkie do upadku, ale wszystko ma swoją miarę. Skoro bowiem powracał do piekieł, nie spojrział nawet na żadną diabolicę i odepchnął z odrazą swą Mikoszkę, mówiąc bez obłudy:

— Pachniesz, ścierwo, smołą i siarką, a ja lubię tymian, fiołki i lawendę, idźże więc precz do swych kamratów, a mnie zostaw w spokoju!

Piekielnica zaś w krzyk:

— A, ty kasztelański synu, niemile ci moje zapachy? Widzisz go, wdał się w matkę, którą uwędzono psom na szynkę i spalono na rynku jako najpodlejszą z grzesznic!

A za rozwścieczoną babą inne...

Ponieważ one w niektórych wypadkach społem trzymają, choćby poważnione były od kołyski, przeto wszczął się w piekle taki lament i takie ujadanie, że ani Lucyfer,

ani Belzebub, nie mówiąc już o diabłach ostatnich rang, nie mieli spokoju.

Przeto księżę ciemności wziął na stronę Merdasińskiego i powiedział:

— Drogi Merdasiu, ustap na chwilę z piekła, bo wszyscy powariujemy od tych babskich krzyków. Dam ci ważne poselstwo na ziemię, a żeś czart mądry i sposobny, sławnego dokonasz czynu, i choćbyś później jeszcze więcej mełł ozorem, żadna przeciw tobie swego nie obróci.

Widzisz, Merdasiu, jesteśmy pokrzywdzeni. Aniołowie i święci znajdują się w kalendarzu i każdego dnia jeden z nich doznaje osobliwej czci na ziemi. A my... nic.

Wprawdzie zwolenników nie brak nam wśród ludzi i kto wie nawet, gdzie więcej dusz, w niebie czy w piekle, ale porządnej czci nikt nam nie oddaje, świec nie pali, litanii nie śpiewa, a nawet nie wiedzą, kiedy są moje lub twoje imieniny, choć jestem księżę, a ty piekielny hrabia.

Aż podskoczył Merdasiński na te słowa Lucyfera i zawołał radośnie:

— Najjaśniejszy panie, z ust mi wydzierasz, co wielokroć chciałem ci powiedzieć. Od dawna przemyślałem już nad tym, ale nie śmiałem rzec, abyś mnie nie ofuknął, więc pomysł na piśmie złożyłem już przed stu laty Radzie Najwyższej, lecz tam tyle aktów czeka na załatwienie, że na mój nie przyszła jeszcze kolej.

— Tym lepiej, Merdasiu, tym lepiej — odezwał się Lucyfer. — Idź na ziemię, poradź się doktorów i rabinów, nie zapomnij o dominikanach, a wyspekulowawszy, jak należy, pisz dzieło.

Powiedziawszy te słowa, przycisnął Lucyfer czarta do swego łona i polizał go serdecznie w oba policzki na znak pożegnania.

Merdasiński nie wiedział, czy się ma radować, czy smu-



cić. W piekle zażywał niemalych honorów, a gdy się wnie-
szał między diabłskie pospólstwo, wszędzie robiono mu
pierwszeństwo, ustępowano z drogi, a halabardnicy pre-
zentowali przed nim broń z rozkazu książęcego i z szacun-
ku, jaki żywili dla wysoko postawionego dworaka.

Na ziemi zaś zdobywać będzie musiał estymę ziarnko po
ziarnku, a w dodatku nie wiadomo, czy zdobędzie.

Lecz i dobre strony miała wędrówka po ziemi. Przede
wszystkim — żydaczowska miecznikowa. Cóż to była za
kobieta! Rozum, wiedza i stateczność kojarzyły się w tej
istocie. Wprawdzie trzech już pochowała mężów, ale jemu
przecież nie da rady, bo diabłem jest i nic mu się stać nie
może.

Merdasiński uśmiechnął się cichutko i począł rozmyślać,
czyniąc dygi przed zwierciadłem: „Piękny jestem, nie do-
równa mi nawet Mizdroń, który uchodzi za diabłskiego
Adonisa i chełpi się powodzeniem u niewiast. Lecz na tym
mi nie zależy, chociaż i to czasami miłe“.

Na myśl o Mizdroniu skrzywił się niechętnie Merdasiń-
ski i wycodził przez zęby:

— Włóczęga, wszędzie go pełno, żyje cudzym kosz-
tem i ciąga jeszcze za sobą głuptasa Pazdronia, który za-
miast pożytecznych czynów dla piekła trawi czas na bez-
celowej mitrędze.

Słyszałem, że kręcą się już te nicponie wedle Żydaczo-
wa i zagląдают do miecznikowej. Czego od niej chcą? Czy
taki niepoń Mizdroń, który zaledwie po łebkach liznął
diabłskiego Plutarcha i nie przeczytał do końca ani jednej
mądrej książki, może u niej coś wskórać? Prawda, w ro-
mansach bardzo jest bity i po francusku szwargoce, ale
miecznikowa ma rozum doktorski i jest, najmądrzejszą
kobietą, jaką wydała kula ziemiska. Wie lepiej ode mnie,
co się dzieje w piekle, w niebie zaś tak czyta jak inny

w kalendarzu, skoro mówi, pisać każde jej słowo, a w dodatku przysięgła, iż nie spotkała mądrzejszej ode mnie istoty, a gdy onegdaj żegnał ją w ogrodzie, ocierała chusteczką łzy z żalu, że odchodzę.

Zerwał się diabeł na to wspomnienie i ruszył cwałem na ziemię.

Skoro zajechał Merdasiński do oberży „Pod Złotym Kogutem“, zastał tam niezwykle poruszenie. W przedsiönku roilo się od służby, a wśród niej łatwo rozpoznał diabeł czartowskie oblicza.

Domyślił się, że to pacholcy Mizdronia i Pazdronia, którzy, nigdy nierozłączni, włóczą się po świecie, narażając piekło na wielkie wydatki. Hrabiami zachciało im się być na ziemi, w jedwabie ubierać, fochy stroić i durniów zwozić, którzy patrzą na grzbiet, a o rozum nie pytają.

Pacholkowie przypatrywali się podejrzliwie nowo przybyłemu, a jeden z nich podskoczył nawet, aby wnieść do izby toboły wypchane po brzegi księgami, które z sobą zabrał z piekła lub wypożyczył od dominikanów oraz z wielu kolegiat, szczyjących się uczonymi scholastykami.

Skarbu swego strzegł Merdasiński jak oka w głowie, bo wiedział, że jest bez niego niczym i gdyby mu skradziono księgi, byłby tak nikczemnym diabłem jak Smerda lub Pochwaliniec. Czart odtrącił więc sługusa, nie chcąc się zdradzić, kim jest i skąd przybywa.

Bacznie tylko rozpuścił oko i ucho, a przekonawszy się, że Mizdroń niczego jeszcze nie wskórał na dworze, zabrał się do pracy.

Nielatwo mu to przychodziło, często zżymał się i błądził, a gdy opłatywały go wątpliwości, biegł do miecznikowej na radę, a ponieważ była uczoną, więc czas mu się nie dłu-

zył i nieraz do białego rana wiedli dysputę tak zawziętą, iż warto było posłuchać.

Merdasiński bardzo zażarł się na księgi i nie zwracał nawet uwagi, iż miecznikowa w coraz piękniejsze stroiła się szaty, coraz rzewniej spoglądała na czarta, a pewnego ranka zapytała go, krańcując jak piwonia, czy nie ma czegoś do powiedzenia, co przejmuję miłym dreszczem i czyni w oczach kobiety każdego głupca najmądrzejszym.

Diabeł myślał i nie odgadł, a że mu wstyd było przyznać się do takiego nieuctwa, obiecał, iż jutro powie na pewno i ucieszy mądrą niewiastę. Lecz nazajutrz nie poszedł Merdasiński do dworu. Skoro tylko zaszło słońce, rzucił się na łożę i zasnął kamiennym snem, okrutnie utrudziwszy się piórem i myśleniem.

Przespałby cały dzień, gdyby nie wszedł posłaniec od miecznikowej, która w długim liście czyniła uczonemu wymówki, iż naraził ją na zawód i uciążliwe czekanie. Nakazywała więc przyjść natychmiast, lecz Merdasiński nie miał siły dźwignąć się z posłania, tak ciążyła mu głowa od nadmiaru myśli i odgadywania. Wymówił się więc chorobą i nagłą pracą, obiecując niebawem poprawę.

Aby zapomnieć o dolegliwościach, skierował myśl na kalendarz, który układał.

Właśnie zatrzymał się przed nazwiskiem Aribela. Dobry to jest diabeł, bardzo uparty w dziele i zawzięty na mniichów. Wciska się do modlitewników, staje za uchem, gdy czytają święte księgi, i podszeptuje różne kacerstwa.

Ile dusz zatracił, trudno spamiętać, ale tylu natworzył heretyków, że trzeba było budować dla nich osobne komory w piekle, bo w zwyczajnych piwnicach miejsca nie stało.

— Dam mu dzień w styczniu - postanowił Merdasiń-

ski — w rocznicę Jana Złotoustego, niech wiedzą w niebie, że i diabły niezgorszych mają doktorów.

W oktawę zaś, na świętą Agatę pannę, wpiszę patrona Mordoniusza. Szubrawiec to wielki, ale sprawny diabeł. Gnieździ się w ziarnkach złota, a kto lyknie kropelkę jego śliny, już przepadł z kretesem. Nic go nie odratuje.

A na świętego Faustyna i Jowitę wsadzę Kalafaktora. Cześć mu się należy osobliwa, gdyż więcej wojen wywołał, niż lat upłynęło od stworzenia świata.

Ale i o Borucie trzeba pamiętać, wojewodą jest piekielnym na ziemi, więc niech doznaje czci w ten sam dzień, gdy wnoszą instancje do umęczonego biskupa Stanisława, który w niebie ma również wojewodzińską potęgę i przebywa w glorii osobliwej.

Rozważając tak ważne sprawy ani spostrzegł Merdasiński, że upłynął cały dzień i słońce miało się ku zachodowi. Wygryzł więc pazurem na papierze imiona patronów diabelskich i gotował się już do wyjścia, gdy uszu jego doleciał turkot karety, która wyjeżdżała ze dworu.

Ciarki przeszły diabła i omal nie wyskoczył ze skóry. Obok miecznikowej siedział z jednej strony Mizdroń, a z drugiej Pazdroń wyciągał pięknie obute kopyta, przysuwając się do damy to bliżej, to dalej, w miarę słów, które wpyluwał z pyska ku wielkiej ucieście niewiasty.

Merdasińskiego wyraźnie doleciały słowa, którymi diabli czarowali kobietę, czyniąc ją nad wyraz szczęśliwą i zadowoloną z towarzyszy.

Gdy pochyliła się na prawą stronę, Mizdroń mówił:

— Piękna jesteś jak róża!

Pazdroń zaś, czując jej głowę przy swych ustach, szepotał:

— Wszystkie kobiety przy tobie gasną i gwiazdy przypatrują ci się z zachwytem, najśliczniejsza!

Pazdroń zaś wtórował:

— Najcudniejsza!

Niewiasta drżała ze wzruszenia.

Ugodzony w samo serce Merdasiński byłby się zerwał natychmiast do biegu, lecz wzrok jego padł na foliały, rozsypane po biurku. Zgarnął je pospiesznie do worka, dorzucił mieszek złota na wszelki wypadek i śmignawszy ciężar na plecy, puścił się w pościg za uwodzicielami. Teraz dopiero odgadł, na co czekała miecznikowa i jakie słowa winien był mówić, aby zdobyć jej przyjacielstwo. Takich kłamstw nigdy nie wykrztusiłoby jego gardło.

Piękna była, miła i powabna, ale diabły przesadzały w uniesieniach. Tyle miała przecież rozsądku, iż mogła się poznać na prawdzie. Czemuż więc nie odpędzi precz tych oczajduszów i niekzemnych łgarzy, ale uśmiecha się radośnie i promienieje ze szczęścia? Czyżbym się nie mylił sądząc, iż straciła rozum?

Takie myśli mając w głowie, biegł Merdasiński z pół godziny, ale nie mógł dogonić odjeżdżających. Worek bił go po plecach, tamował ruchy i niezdolnie przygniatał do ziemi.

Zatrzymał się więc czart pod krzywą wierzbą, wygrzebał pazurami dziurę i wsadził w nią swe skarby. Dokonawszy zaś tego dzieła, puścił się jak strzała za niknącym na widnokregu powozem.

Szedł opodal Kacper Ciompka, wielki próżniak i ladaco. Wygoniła go z domu baba, bo nie miał się żadnej pracy, wylegując się w lecie pod gruszą w ogrodzie, a w zimie na przypiecku. Gdy żona pędziła go do roboty, wykręcał się na drugi bok i odpowiadał:

— Nie przeszkadzaj mi, bo przemyśliwam, jak zostać bogatym!

Sprzyskrzyło się babie myślenie chłopca, które nie dawało nawet ~~byperki~~ na okrasę, więc wyгнаła go z obejścia, aby oszczędzić na jadle i nie patrzeć na nicponia, który do cna jej obrzydł.

Poszedł więc Ciompka w świat i zaszedł pod krzywą wierzbę, pod którą postanowił zanocować. Ułożył się wygodnie pod drzewem i patrzy:

Świeło ruszana ziemia... grzebnął raz i drugi, a pod palcami zaświecił nowiutki dukat.

Chłop rzucił się łakomie na zdobycz i za kilka chwil wyciągnął pełny mieczek złota, ukryty pod zwojami zapisanych foliałów. Zebrał to wszystko porządnie, papiery sprzedał Żydom pod placki, a za worek złota kupił taki kawał roli, iż zwano go wielmożnym dziedzicem i pozdrawiano z daleka.

Skoro napatrzeć wrócił Merdasiński pod wierzbę, omal nie zszikował z rozpacz. Miecznikowej nie dogonił, a kalendarz przepadł bez śladu.

Chciał Ciompkę zagadnąć i ofiarować mu za papiery dziesięć razy tyle złota, ile zakopał pod wierzbę, ale nie mógł dostąpić do chłopca. Pędził go dziedzić świętym słowem i znakiem krzyża, rozumiejąc, z kim ma do czynienia.

Merdasiński wyrywał sobie włosy z głowy, rozbijał pięścią własną paszczkę, próbował nawet obwiesić się z rozpacz, lecz wszystko nadaremno. Bolał i nie śmiał pomyśleć o Lucyferze, który lada godzina mógł go wezwać do piekła i zażądać kalendarza.

Chciał zacząć pracę na nowo, lecz jakże sobie poradzi, skoro zniknęły rejestra piekielne, w których zapisywano wszystkie szelmstwa diabelskie od stworzenia świata.

— Przepadło, raz na zawsze przepadło — jęczał Merdasiński, przyrównując się do największego durnia, jaki kiedykolwiek pojawił się w piekle i na ziemi.

Kiedy po dobroci niczego nie mógł wskórać u Ciomпки, postanowił się mścić na chłopie aż do ostatniej chwili jego żywota.

Nadeszła wiosna. Wyszedł dziedzic w pole i uśmiechnął się zadowolony. Widniał przed nim ogromny łąn, długi, iż oko nie mogło dosięgnąć granicy, a tak szeroki, że wóz z końmi wydał się jak mucha na suficie kościoła. A gdy siał począł, nie mógł nastarczyć ziarna i po całodziennej pracy nie doszedł nawet do połowy.

Wielkim jestem bogaczem — cieszył się dziedzic, a żona jego poskakiwała jak przepiórka, chwając męża za przemyślność.

Skoro zaś nadeszła jesień i przyszło zbierać żniwo, łąn tak się skurczył, że Ciomпка nie zebrał ani dziesiątej części siewu.

A gdy tak gospodarzył lat trzy, umarł z żalu i uczciwie go pochowano.

Merdasiński nie dowiedział się nigdy, gdzie zatracono papiery, które miały mu zgotować wieczystą sławę w piekle.

A że Lucyfer łaskawy i wie o nieszczęściu i złodziejstwie Ciomпки, więc nie wzywa swego ulubieńca przed tron, lecz pozwala, aby błąkał się po ziemi, nawiedzał rabinów oraz proboszczów i przypominał sobie, co zapisane było w rejestrze. Diabeł jest pracowity, nie zaniedbuje się ani chwili, więc może do końca świata ułożyć kalendarz.

Kiedys wśród wędrowki po ziemi spotkał Merdasiński nierozłącznych przyjaciół: Mizdronia i Pazdronia. Zagadnął ich statecznie i począł opowiadać swe krzywdy, które do głębi przejęły kamratów. Ofiarowali mu chętnie pomoc, a gdy diabeł zwrócił się z prośbą, aby społem udali

się pod Żydaczów i kopali pod wierzbami, zachnęły się oba diabły, odpowiadając bez namysłu:

— Pójdziemy na drugą półkulę, ale nigdy do tego miasta! Żyje tam dotąd miecznikowa, krańcieje jak piwonია i oczekuje naszego powrotu. Niech czeka do sądnego dnia, kiedy taka głupia! — Mówiąc to splunęli, litując się nad rozumem niewiasty, którą migiem wywiedli w pole, naplótłszy coś niecoś nie do rzeczy.

Na taką odpowiedź Merdasiński skłonił leb żalośliwie i powlókł się w stronę Kańczugi, gdzie mieszka pewien sławny teolog, z którym miał się naradzić, czy możliwym jest, aby czczono wszystkich diabłów naraz, bo choćby po stu zapisać w kalendarzu na jeden dzień, wielu jeszcze będzie pokrzywdzonych, a to byłoby niesprawiedliwie i nie po czartowsku.



Obecne wydanie *Żywotów diablów polskich* jest czwartym z kolei. Pierwsze wyszło w roku 1930 w Warszawie, drugie w roku 1932 w Poznaniu, trzecie w 1960 r. w Poznaniu. Witold Bunikiewicz (1884-1946) debiutował w roku 1909 tomikiem poetyckim, a w roku 1912 jako autor sceniczny. Do roku 1930 wydał 5 tomików wierszy (*Komedia olimpijska* — 1909, *Wiosna* — 1910, *Ballady* — 1920, *Rapsod mazowiecki* — 1930, *Rycerz śmierci* — 1930) i 5 komedii wierszem (*Złote czasy* — 1912, *Piosenki ulańskie* — 1917, *Sowizdrzały* — 1918, *Wazon i róża* — 1922, *Cud miłości* — 1928). Wychowanek gimnazjów galicyjskich, studiował Bunikiewicz historię sztuki w Berlinie, Monachium i Paryżu, a wzrastał jako literat pod osobistym wpływem czołowych pisarzy Młodej Polski: Artura Górskiego, Antoniego Lange i Stanisława Przybyszewskiego. W czasie pierwszej wojny światowej ranny na froncie czarnogórskim, przebywał później jako rekonwalescent w Czechach i wtedy nawiązał kontakty z tamtejszymi literatami, czego rezultatem jest wydany później (1924) tomik dobrych przekładów

Współczesna liryka czeska. Po roku 1920 pracował najpierw w dyplomacji, a później (od r. 1926) w dziennikarstwie w Warszawie. Był redaktorem czasopisma „Panowa” i stałym recenzentem plastycznym (do r. 1939) „Kurierza Warszawskiego”. Jest też autorem kilku studiów z historii sztuki publikowanych osobno i w czasopismach. Po roku 1930 napisał dwie powieści: *Życie w kolorach 1930* i *Czarny karnawał* (1938).

Twórczość poetycka i dramaturgiczna Bunikiewicza stanowi właściwie epigońskie kontynuowanie poetyki Młodej Polski i jest dla dzisiejszego czytelnika prawie martwa. Pozostała po nim jedynie zaczęta w późniejszych latach życia twórczość prozatorska, z czego najoryginalniejszym i pełnym swoistego uroku jest właśnie nasz tomik humorystycznych opowiadań, napisanych na podstawie rozproszonych podań i klechd ludowych oraz literackiej tradycji, cykl jednolitej w rubasznym tonie i dowcipnej demonologii polskiej.

SPIS TREŚCI

Gdzie należy szukać wejścia do piekieł	5
W jaki sposób Boruta został wojewodą	16
Szelmostwo Boruty	26
Wesele karczmarki Jaguni	35
Pan pułkownik Rogaliński	42
Diabła parafia	52
Pokaranie Mefista	61
Żaloszny żywot diabła Hejdasza	73
Opowieść o nieprzyjemnym diable Rokicie	82
Historia żarłocznego diabła Fugasa	97
Diabelska miłość	110
Diabli kalendarz	120

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE © POZNAŃ 1985

Wydanie II. Nakład 80 700 + 300 egz. Ark. wyd. 6,0; gric. druk. 9,0. Druk ukorńczono
w lutym 1985 r. Zam. nr 26/83 E-9/822 D-112

PRASOWE ZAKŁADY GRAFICZNE w KOSZALINIE ul. Lampego 18/20

Cena zł 120,-

ISBN 83-210-0454-7